Włodzimierz 1937–38

ŚPRA

im. Marcina Kątskiego

ROCZNIK



ROCZNIK SPRA

IM. MARCINA KĄTSKIEGO

1937 — 1938





Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej prof. dr. Ignacy Mościcki



Marszałek Edward Śmigły - Rydz



Minister Spraw Wojskowych
gen. dyw. Tadeusz Kasprzycki

ROCZNIK SPRA
IM. MARCINA KĄTSKIEGO



Komendant S. P. R. A.,
płk. mgr. Jan Filipowicz



Zastępca Komendanta S.P.R.A.,
ppłk. Adam Jan Meissner



Człowiek za którym idziemy



W niedzielę 12 maja pamiętnego roku 1935 zakończył życie największy człowiek Polski Odrodzonej, pierwszy jej marszałek, Józef Piłsudski. Mimo, że oddawna nadwątlone zdrowie i pogłoski o groźnej chorobie Marszałka budziły poważne obawy, to wieść o Jego śmierci wstrząsnęła całym życiem Polski. Śmierć jest ostatecznym losem każdego, ale gdy zabiera kogoś, kto był podwaliną naszego życia, wydaje się brutalnym pogwałceniem natury i z trudnością mieści się w świadomości. I teraz jeszcze — każde słowo, które ma o Nim mówić, wydaje się zbyt słabe, aby wyrazić wielkość Marszałka Piłsudskiego, aby wyrazić piękno i wzniosłość każdego czynu Jego życia.

Kim był Józef Piłsudski — trudno dać odpowiedź dokładniejszą, niźli ją dała sama historia. Chcieć ująć w kilkuset słowach całe życie tego bojownika o wolność, twórcy armii polskiej, wodza i wychowawcy Narodu, chcieć zdać sprawę chociażby pobieżnie ze wszystkich dzieł Jego życia — zadanie to dla tęgiego historyka. Tym bardziej, że wyrósł ponad nas w pomnik, że stał się symbolem i ideą, że postać Jego opromienił czar legendy. O Józefie Piłsudskim jest trudno mówić, chociaż już tyle o Nim pisano — ale może wielkość Jego, może to czym był i jest dla serc czujących po polsku wyraża się piękniej i silniej w prostym słowie: Komendant, lub w drugim, serdecznym i poufałym: Dziadek.

Aby poznać i zrozumieć Józefa Piłsudskiego, aby wzorować się na Nim w życiu jako na ideale Polaka i obywatela, nie wystarczy znać fakty i czyny Jego życia, koniecznie trzeba sięgnąć głębiej i szukać prawdy poprzez zrozumienie tej olbrzymiej indywidualności twórczej. Dlatego nie o czynach nam mówić, nie o pięknym życiu od rodzinnego szlacheckiego domu do momentu, gdy spoczął wśród grobów królewskich na Wawelu — ale mówić nam trzeba o istocie Jego ducha, o niewyczerpanym źródle geniusza. z którego tak bogato dla Polski czerpał.

Gorący patriota, czcigodny kapłan i przyjaciel Marszałka, śp. ks. biskup Bandurski powiedział, że Józef Piłsudski mógłby określić samego siebie słowami Żeromskiego:

„Moja wielkość musi być przeze mnie przede wszystkim w mym sercu zdobyta, wyszarpana siłą z nicości, szpadą wzięta w zawziętym boju i trudzie. Skoro zdobędę moją własną wysokość własną mocą, wówczas dopiero własną mocą zdobędę Ojczyznę. I zawsze czuję tak, jakby się we mnie ze sobą samym mocował cały naród polski. Muszę nasamprzód

stworzyć za cały naród moją wolę niezłomną i dopiero potem narzucić ją zewnętrznemu światu".

Piłsudski — to przede wszystkim człowiek wolny. Nie podlegał żadnym względom ubocznym, małostkowym pragnieniom i żądzom. Nie podlegał nigdy partiom i klikom. Nie szedł za podszeptem przejściowych koniunktur, nie dał się użyć nikomu, a umiał naginać otoczenie do swoich celów. Służył tylko jednej myśli, jednej idei i ona mu była gwiazdą na burzliwym oceanie historii. Potrafił powiedzieć: „ja i Polska — to jedno" i potrafił szczerze modlić się słowami Adama Mickiewicza: ...„o wojnę ludów prosimy Cię, Panie!"

Piłsudski wspierał się zawsze tylko na samym sobie. Nie oczekiwał niczego od ludzi, wiedząc, że wielkość nie przychodzi z zewnątrz, że zdobywa się ją jedynie własną mocą. Nie potrzebował stronnictw — On sam był stronnictwem. Nie potrzebował doradców — bo radził sam sobie. Nie wypadki więc kształtowały Jego życie, lecz On kształtował wypadki. I dlatego miał tę głęboką i niezrozumiałą dla wielu pewność, że Polska powstać musi, bo On jej wolność i niepodległość i dumę oddawna nosił w sobie.

Piłsudski wiedział jasno, czego chce. Dlatego przez całe życie zachował ciągłość i konsekwencję i jednolitość — mimo zygzakowatą pozornie linię postępowania. A wiedząc, czego chce, posiadał równocześnie niezłomną wolę realizacji celu. Ta zdumiewająca polityków potęga woli czyniła Go aż do szaleństwa odważnym w decyzjach i w działaniu, spokojnym w dniu zwycięstw, nieugiętym w momentach klęsk i załamań. Wola ta — samą stałością najtrwalszej stali — kruszyła przeciwności i uczyniła Go — jak sam o sobie powiedział — ryzykantem.

Piłsudski dzięki swej niezależności, świadomości celu i potędze woli rozwinął w sobie moc czynu. Nie sposób jest wyliczyć, ilu było ludzi wybitnych i utalentowanych i dobrej woli, którzy mogliby odegrać w dziejach swego narodu poważną rolę, gdyby nie brakło im tego właśnie znamienia władców, reformatorów i wodzów. Umieć działać, bez chwiejności i połowiczności, zawsze w porę i zawsze wszystkimi środkami, nie zawahać się w decydującej chwili, nie obliczać po aptekarsku i ostrożnie, a uderzyć nagle, jak piorun — to wielka sztuka, którą w historii posiadało niewielu.

A oprócz tego Piłsudski miał niezwykłą intuicję polityczną, połączoną z wyjątkowym zmysłem rzeczywistości. Przeczuwał naprzód bieg wypadków, dostrzegał drobne oznaki i fakty, które uchodziły uwagi innych, a z których On wysnuwał dalekosiężne wnioski. Pomagał Mu w tym realizm myślenia, pozwalający oceniać jednym rzutem oka całą historię przyszłych działań.

Dziwne, jakimi drogami los prowadzi ludzi. Zdawało się, że przecież ten człowiek, gdy rozpoczynał karierę rewolucjonisty, w swym zapale dla dzieła uszczęśliwienia biednych i uciśnionych pójdzie drogą utartych doktryn socjalnych i w tym zapamiętaniu walki klasowej wyjdzie na szosę kosmopolityzmu. Stało się jednak inaczej: „Wysiadłem na małej stacyjce, której na imię Niepodległość".

„Wszędzie, gdzie gościńce mają skręty, gdzie załomy drogi, gdzie ludzkie wahania i gdzie ludzi małych trwoga — stoją jak drogowskazy olbrzymie głazy samotne lecz z nazwiskami, gdy ludzie nie giną bezimiennie" — mówił Piłsudski na sprowadzenie zwłok Słowackiego do Polski. W tych słowach kryje się powód, dla którego Marszałek porzucił socjalizm.

Polski gościniec miał ostry zakręt w miejscu, gdzie graniczyły ze sobą interesy trzech obcych panów. Przez ten zakręt trzeba było Naród przeprowadzić, wywieźć na prostą drogę niepodległego bytu.

I trzeba było mieć wielką siłę moralną, aby tego rodzaju pracę wykonać, a odpowiedzialność za los Narodu wziąć na siebie i ponieść. Skąd tę siłę Piłsudski znalazł — trudno dociekać: jest to tajemnica geniusza. Faktem jednak pozostanie, że psychologia społeczna pod wpływem tego człowieka ulegała powolnym może, lecz stałym przeobrażeniam. Na komendę mocnych i ostrych słów, na ich ogniste pytajniki, rzucane w społeczeństwo, poczęło się coś rodzić, coś powstawać, coś budzić — to sumienie, sumienie uśpione niewolą, zaplute moskiewską śliną, zdeptane niemieckim butem.

Sumienie, a jak inni nazwą — poczucie odpowiedzialności, zarówno w życiu społecznym, jak i indywidualnym po wojnie znacznie osłabło — ale Piłsudski nie mógł się na to zgodzić i temu zjawisku wypowiedział walkę, porzucając nawet osobistą popularność.

„Jestem człowiekiem, który przyzwyczajony był zawsze do pewnej pogardy w stosunku do plotek. Szczególną zaś niechęć czułem do przedstawiania spraw wojskowych w sposób demagogiczny". — Ta pogarda występuje nawet w działalności politycznej. Jej wystąpienia, przepojone goryczą i gwałtowne, najlepiej świadczą, że w tym człowieku nic nie było z troski o powodzenie i miłości własnej. Nie dbał o to, czy Go ktoś pochwali, czy łaskawym okiem nań spojrzy. Gdy mówił — to po to, by Go słuchać; gdy rozkazywał — to nie mogło być mowy o sprzeciwie. Postać Marszałka, oglądana zdaleka poprzez zmienność ludzkich sądów i kapryśne załamania tak zwanej opinii wywołuje i dziś podświadome uczucie podziwu u jednych, zdecydowany entuzjazm u drugich, szacunek i tajemny strach u innych — dziś, kiedy czyny Marszałka sądzi historia, a ludzkie życie Bóg.

Walczy się w Polsce o nowego człowieka, a w tej walce któż ma być wzorem, jak nie On — ten, co Ojczyznę najbardziej umiłował i samego siebie jej oddał, całe trudne i bohaterskie życie.

Mamy szczęście brać udział w budowie Polski mocarstwowej. Unieśmy nad sobą to życie waleczne jak sztandar i uczmy się z niego jak z ewangelii — aby umieć tak, jak Piłsudski, oddać wszystko krajowi, aby umieć połączyć w sobie męstwo z ostrożnością, szybkość decyzji z opanowaniem, gwałtowność ze spokojem i uczciwość ze zręcznością męża stanu.

REDAKCJA







TRZEBA BYĆ MOCNYM



Oto stwierdzenie, niepodlegające żadnym dyskusjom, żadnym wątpliwym *„albo-albo“*, żadnym chwilom, które płyną nad człowiekiem jak chmury i owijają go czadem słabości, romantyzmu, tkliwości i łzawym sentymentalizmem. Trzeba być mocnym, aby umieć decydować, rozkazywać sobie choćby naprzekór sercu, choćby wbrew temu, co w nas rozpaczliwie ręce załamuje i *„nie!“* woła. *Trzeba!* — a przed tym bohaterskim musem głowę tylko odsłonić i na baczność stanąć.

Czas, który na nas zawieją idzie, musi nas spotkać gotowymi do każdej ofiary, od ofiary nazwiska począwszy, a na ofierze krwi i życia skończywszy. Gdy nad chatami przytulonymi do ziemi wiatr wściekły tańczy, zawsze porwie i zburzy strzechy nieumocnione, zawsze zniszczy ludzi bezbronnych jak dzieci. A ten czas, który na horyzoncie czarne chmury gromadzi i każdym dniem bije jak pięścią w stół, pozostawi nas przy życiu, gdy staniemy ponad nim, ponad słabością z nim związaną.

Po tej drodze rozumowania idzie polityka wychowawcza większości państw w Europie i na tej linii spotykają się wytyczne wielu współczesnych wodzów. Poszukuje się ludzi mocnych i próbuje się ich odpowiednio wychować, ukształtować surowe charaktery w taki sposób, aby hasło *„wszystko dla państwa“* nie biło w twarz brutalnym wyrzeczeniem się osobistych pragnień i wzlotów. Tylko takie wzloty są potrzebne, które przyniosą współobywatelowi korzyść równie dobrą, jak i tobie, i równie konieczną. Oszczędność wysiłków do wykonania zadań dla olbrzymów — oto cel, a ideał: człowiek, który bogom wykradł dla ludzi ogień.

Uświadomienie sobie tej sprawy, zrozumienie koniecznego istnienia takiej a nie innej polityki wychowawczej jest tylko wstępnym krokiem, którego postawienia domaga się historia od każdego Polaka. Ale za tym idzie marsz — marsz żmudny, uciążliwy, wytężony i osłabiający, marsz bez fanfar i chorągwi nad głową, bez reklamy i wiwatujących okrzyków, marsz którego cechą: szarość i pot, spływający na oczy. Myślę o tzw. marszu do nowego człowieka.

Tylko o jednej sprawie pamiętać trzeba, aby każdy bolesny wysiłek wykorzystać do maximum: musi być zawsze równy krok. Musi być równy krok, skandowany ostro, silnie, po żołniersku. *Po żołniersku.*

Walka o nowego człowieka — ale tego człowieka, którego nazwą *„nowy“* określono najlepiej i najszczęśliwiej, nie znajdziemy ani wśród ścian tradycyjnych dworków polskich, ocienionych lipami i strzeżonych topolami, i nie tam,

gdzie pod słomianą strzechą kiśnie wraz z kapustą i tłamsi się kołtuniaste życie — ani tam, gdzie żar z pieców hutniczych spala nie tylko skórę, ale i duszę i wrażliwość człowieczego serca.

Od koszar, od koszar idą szeregi nowych ludzi: twarze mocne, młode, zuchwałe, oczy odważne i twardy, stukotliwy rytm sprężystych nóg. Bagnety na karabinach, karabiny silnie uchwycone — to ich symbol. Tymi bagnetami obronią własne życie i to, co jest treścią ich życia: *ojczyznę.*

Mówi się o wojnie totalnej, o tym, że nie jednostki w przyszłej wojnie będą się potykać, a wszyscy ze wszystkimi, naród z narodem. A tymczasem wałęsają się wśród pól polskich, łażą po *„pasie wielkich dolin"* potomkowie dawnych słowiańskich pszczelarzy, dla których ul tylko godny był obrony. Ciągną nieszczęśliwi romantycy, miłujący bardziej śpiew słowika, niźli pracę znaczoną potem — nieodrodni synowie ojców, którzy gdy się obżarli mięsiwem, opili winem do syta, mogli się kłócić i chwytać za karabele i spierać krwawo, czy Polskę taniej lub drożej sprzedać.

Zebrać te tysiące złych obywateli, zgromadzić ich i poprowadzić za bramy, skąd nadchodzą nowi ludzie, do koszar. Rzeczpospolita jest dobra jak matka —



przebaczy prywatę i egoistyczną niemoc, i nauczy bohaterstwa ważniejszego niż pełny brzuch, ule i słowiki wyśpiewujące maj. I zrozumieją ci ludzie znaczenie słów: *honor, ojczyzna, wierność i poświęcenie,* i zrozumieją olbrzymią piękność zielonego munduru żołnierza, który jeden jest zgodny, zjednoczony, nieugięty — zawsze, nie wyjątkowo na niedzielę.

Bo *„czyż mądrość ma być dostępna tylko w dniu odświętnym? Czy inne jest „Ojcze nasz" na dzień powszedni, a inne na niedzielę? Czy jest w Polsce ktoś, kto ma tak zaprzepaszczone sumienie, żeby twierdził, że Polska lepiej wyjdzie na niezgodzie, na kłótniach, na walce wewnętrznej, niźli na jedności?*

„Każdy rozsądny człowiek, który umie korzystać z dobrego i złego doświadczenia ludzkości — każdy rozsądny człowiek, który nie przysięga na ewangelię egoizmu klasowego i walki klasowej — powinien przełamać trudności w wyborze programu, bo musi uznać, że

po pierwsze: każdy człowiek aby żyć, musi jeść, musi odziać się, musi mieć dach nad głową i musi od czasu do czasu przynajmniej mieć choćby jakiś lekki posmak powszedniego zadowolenia życiowego;

po drugie: każdy rozsądny człowiek musi uznać, że ponad tymi codziennymi potrzebami są potrzeby nadrzędne, cele wielkiej zbiorowości ludzkiej, żyjącej w państwie — czyli to, co się wiąże z przeznaczeniem, z losem i bytem narodu;

po trzecie: każdy musi uznać, że te pierwsze potrzeby codzienne dnia powszedniego i te drugie — wielkie — można zdobyć tylko zgodnym, zjednoczonym, skoordynowanym, rozumnie i nie-

ugięcie kierowanym wysiłkiem wszystkich.

„A więc jedna jest droga i wtedy, kiedy chodzi o kawałek chleba powszedniego, i wtedy, kiedy chodzi o wykucie piorunów, które mają strzec wielkości i majestatu Rzeczypospolitej“.

(Marsz. Rydz-Śmigły).

Jedna jest tylko droga, którą musimy pójść, aby pozostać i żyć, gdy już jutro mapę Europy ktoś gwałtownie zechce podrzeć i w błocie brudnej polityki, tego geszeftu międzynarodowego, zadeptać — to jedno trzeba zrozumieć. A zanim się w nas bunt egoizmu podniesie, wspomnijmy na tych, których dopiero śmierć z marszu odwołała, a których nazwiska są jak owa litania patriotyczna, gdzie ciągle powtarzają się żołnierskim wersetem słowa *„za ojczyznę polegli“.*

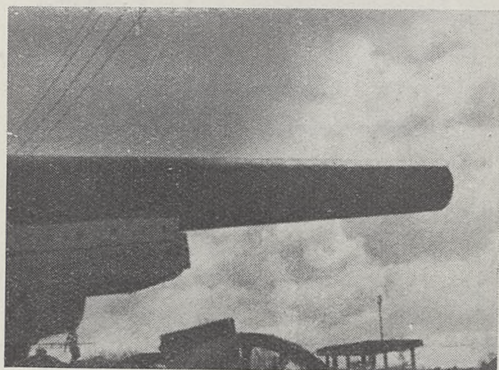
Jakże się wówczas ukryć za parawanem wygody i sobkostwa, jakże się wówczas nie patrzeć brutalnym dniom w twarz? — Podajcie sobie, przyjaciele, dłonie. Oto jest łańcuch żywy a twardy jak stal, którym otoczycie Polskę, aby nie zginęła.

Bohaterstwo zwykło się rodzić z serca, z gwałtownego napływu krwi, z gorętszego bicia tętna. Bohaterstwo zwykło odgrywać rolę dynamitu: wybuchało, aby niespodziewanie zniszczyć lub oswobodzić. Ale nasze, nasze bohaterstwo — przyjaciele żołnierskiej służby — musi mieć inne napięcie: nie wybuch — a ciągły stan uczuciowy, nie pożar krwi — a spokojna praca mózgów.

Ktoś powie: *likwidacja serca,* a to tylko konsekwentny sposób rozumowania, którego się od nas domaga rzeczywistość. Podniesione ręce niemieckie w Rzeszy, w dawnej Austrii i Czechosłowacji mają swoją wymowę i faktem jest, że gdy opadną — to po to, aby zaraz unieść ciężki miecz i karabin z osadzonym bagnetem. Podniesione ręce w hitlerowskim powitaniu — to jest symbol takiego właśnie napięcia uczuciowego, którego cechą — ciągłość, i w którym zawarto rozkaz: bądźcie gotowi. — (Abstrahując oczywiście od postawy politycznej wyznawców Hitlera i najzupełniej nie gloryfikując jego idei).

I prawdą jest, że nie można stawiać na szczęście i myśleć, że *„jakoś to będzie“.* Niewola nauczyła Polaków bohaterskich zrywów i to dotychczas pozostało. Po dwudziestu latach niepodległości nie wolno nam żyć chwilą i ciągle wierzyć w wybuch, który ma nas z niepewnej i groźnej sytuacji wydobyć na powierzchnię — musi być to, co obserwujemy w narodzie włoskich czy niemieckim: codzienny patos walki o lepsze jutro. Bo mało patos w dni uroczyste, akademijne, lecz możliwość przyszłej walki o byt państwa musimy mieć wprost przed sobą, przed oczami.

Trzeba sobie wreszcie uświadomić, że tak być nie może, bo nie powinno — a za uświadomieniem musi pójść praca nad zmianą takiego stanu rzeczy, jaki jest — i praca koniecznie po linii tych ludzi, którzy maszerują od koszar. Można to nazwać różnie: militaryzacją kraju,



„każdy obywatel żołnierzem" lub jeszcze inaczej — jedno tylko pozostanie bez zmiany i nazwy nie wymaga: podporządkowani żołnierskiemu rozkazowi będziemy zawsze gotowi, a słowo *„ojczyzna"* nabierze zrozumialszych cech tego pojęcia, któremu wszyscy będziemy służyć.

„Każdy obywatel powinien być żołnierzem" — powiedział Marszałek Józef Piłsudski. Nie chodzi mi o analizę tego przykazania niezapomnianego Wychowawcy Narodu, ale o wnioski, które muszą być wciągnięte — chodzi mi o podniesienie jeszcze raz tej samej sprawy, tylokrotnie poruszanej w przemówieniach wybitnych mężów polskiego rządu.

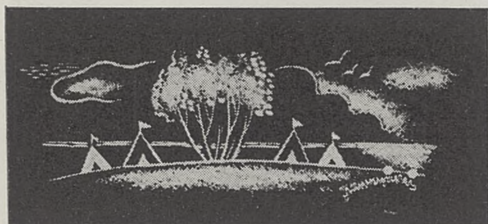
„Każdy obywatel żołnierzem" — inaczej każdego z nas muszą cechować te zalety, które przywiązane są do żołnierskiego munduru: więc poczucie narodowej godności, więc solidarność w postępowaniu, więc bezwzględne podporządkowanie się dowódcom i bezwzględne uszanowanie rozkazu. *„Każdy obywatel żołnierzem"* — abyśmy byli zawsze gotowi.

I właśnie o to zagadnienie zazębia się sprawa wychowania obywatela. Musi mieć poczucie godności narodu, do którego wielkiej rodziny należy, musi być solidny i pewny, musi umieć słuchać i spełniać te obowiązki, które na niego i współobywatel i państwo nakładają.

Człowiek, z wielkiej niewiadomej wywołany, narodził się, aby być, ale życie jego wówczas jest potrzebne, gdy przynosi pożytek innym, gdy odbiegnie od samolubstwa, a nabierze wartości ogólnoludzkich — w przeciwnym wypadku szkodzi. Dusza dziecka zaś, to klisza fotograficzna, czuła na reakcje światła i obrazów: przyjmuje bez zastrzeżeń i bezwiednie wszystko, co zdoła uchwycić. Dlatego na wychowanie małego obywatela należy zwrócić najbaczniejszą uwagę, jeśli pragniemy szczerze, aby słowa Marszałka Piłsudskiego, pozostawione nam — potomnym w testamencie ideowym, doczekały się wreszcie końcowej realizacji.

Dzisiaj, niestety, inaczej. Nad kołyską przyszłego żołnierza Rzeczypospolitej nie cuda wprawdzie się bają, nie wróżki bohaterskie radzą, lecz kłócą się przedenerwowani rodzice. I nie oni decydują o jego duszy, a przypadek działający na samotny charakter i brutalny dzień. Nauczony od młodości brukowej prozy, pływa po łatwiźnie, goni za złotówką, kłamie dla niej, żyje dla siebie, rozmienia na drobne talenty, zdolności i serce, prowadząc zwykłe królicze życie. Umie być fałszywym, gdy trzeba, umie rozpychać się łokciami w państwie jak w tramwaju, a nie będzie — bo nie chce być — uczciwym, solidnym, pewnym.

A trzeba czego innego: trzeba, aby ten odcinek swojego życia od kołyski do ko-





szar przeszedł tak, by służba wojskowa nie przeorywała charakteru, lecz umacniała zdobyte wartości, ugruntowywała i wolę, i wiarę, i moc wewnętrzną. Trzeba, aby młody człowiek wiedział, czego wymaga jego przynależność narodowa, aby umiał słuchać lub rozkazywać, a nie dopiero się uczył. Musi to być półżołnierz, a nie surowy materiał. Tak więc słowa *„każdy obywatel żołnierzem“* pociągają za sobą inne, konieczne: *każdy dom szkołą przyszłego obywatela,* każdy dom *żołnierską* szkołą.

Jakże możemy być pewni wtedy, że w wyścigu pracy i w wyścigu krwi i żelaza, o którym mówił Marszałek Piłsudski, nie zginiemy, że nie zatratują Polski niemieckie czołgi, że nie zaleje czerwony sowiecki pożar. Gotowość będzie w nas i nie ręce wzniesione do góry, a my sami będziemy jej symbolem.

Podajcie sobie, przyjaciele, dłonie — oto powstał łańcuch żywy a trwały jak stal, którym otoczycie Ojczyznę, aby mogła istnieć.

Podch. Henryk Chuzik



Komendant S. P. R. A., płk. mgr. JAN FILIPOWICZ przemawia do swych wychowanków w dniu składania przysięgi.

ROK POD ŚWIATŁO



oszło do tej rozmowy w jakąś niedzielę, kiedy padał deszcz i gdy właściwie nie warto było iść do miasta. Temat wypłynął tak jakoś samorzutnie. Nic dziwnego zresztą, bo było już po egzaminach, kiedy każdy mógł cyfrowo dowiedzieć się o wynikach swej całorocznej, teoretycznej pracy.

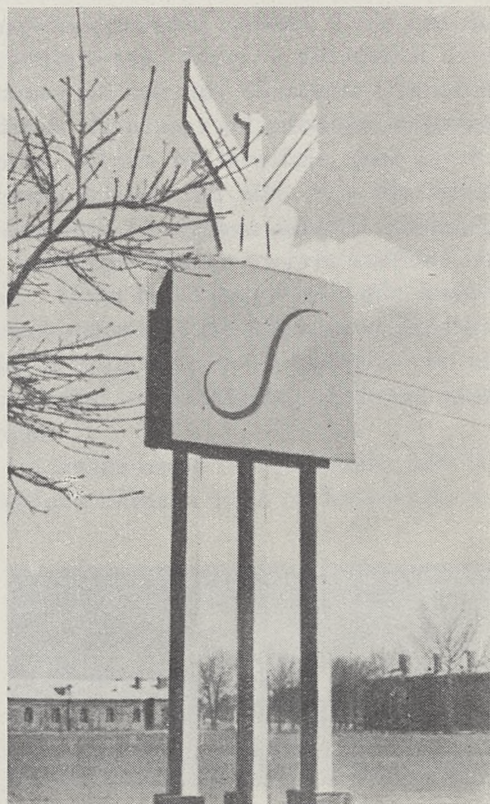
W baterii po obiedzie ruch — za chwilę zamrze życie. Część idzie jednak do miasta, a część odwiedza znajomych, przypomina szkolne czasy itp.

Niedziela — odwiedziny — sakramentalne: jak tam u was w baterii?... co robicie na instrukcji?... jak się wam jeździ na *„bezecie"*, jak Krysia... — podobno maturę robi?... — a tak!... — A Dada?... Tak! w Warszawie... na uniwersytecie... medycyna... nie może być?.. — Wiesz, Jurek pisał przed dwoma dniami... no, patrz! z Gdyni?... posadę dostał... owszem, dobra — ale nie miałem czasu, aby mu odpisać.

— Tak jakoś się dziwnie składa, że kiedy mam natchnienie — nie mam czasu, a kiedy jest czas — nie mogę się zabrać do pisania.

— A wiesz, Zbyszku, że i ja doszedłem do tego samego wniosku, tylko zdaje mi się, że ten brak natchnienia, jak ty to nazywasz, nie wypływa sam z siebie — tak po prostu nie brak epistolograficznej weny — tylko przyczyną tego jest według mnie inność, odrębność naszego obecnego życia od tego, z którego wzięliśmy jednoroczny urlop.

— Ładnie to powiedziałeś, Stefku — urlop jednoroczny. Czy jednak nie uważasz, że ten „urlop" jest właściwie jednym z fragmentów — etapów nawet naszego całego życia tak, jak dzieciństwo i szkoła średnia, studia wyższe, no i wreszcie to właściwe życie z jego zakończeniem, z jego rachunku zamknięciem, bilansem. Chodzi tylko o to, między jakie etapy włączysz ten okres służby wojskowej, czy zaraz po szkole średniej, czy też po studiach wyższych?... Wiesz, że wstąpiłem do wojska zaraz po maturze, ty natomiast masz już za sobą studia —



nasuwa mi się takie pytanie: czy lepiej iść do wojska zaraz po maturze, czy też po studiach wyższych i dlaczego?

Mamy po za sobą małą perspektywę wprawdzie, bo jednoroczną, ale już można na ten temat coś powiedzieć, a więc?...

— Zdaje mi się, że rozwiązanie tego problemu, nad którym za dawnych lat głowili się maturzyści: „czy zaraz po szkole średniej iść do wojska, czy też na studia?" — przybrało najwłaściwszy obrót.

Młodzież — a więc niezdecydowani jeszcze życiowo ludzie — pojdą zaraz po maturze do wojska. Wejdą w twardą szkołę życia, nauczą się obowiązkowości i sumienności, staną się godnymi kandydatami na obywateli rzeczypospolitej akademickiej — tej prawdziwej, bez zmanierowanego politykierstwa — i nie popełnią tego grzechu młodości, któryśmy *illo tempore* popełnili.



W tej chwili sprawy te są bezwątpienia na najlepszej drodze do rozwiązania całokształtu spraw z wychowaniem i wykształceniem młodego pokolenia związanych. Przygotowanie bowiem w obozach pracy i wyszkolenie wojskowe przed wyższymi studiami jest jednym z etapów celowego rozwiązania tego zagadnienia.

Bo czy można sobie wyobrazić dojrzałego człowieka, akademika, który nie ma pojęcia o technice obronności kraju? — Czy można sobie wyobrazić minimum dyscypliny społecznej bez przejścia tej szkoły karności, jaką jest wojsko?

Aby nie było takich ludzi, została zorganizowana Legia Akademicka.

— Słusznie, Stefku! — Bo, co by było z tyloma nieprzygotowanymi wojskowo ludźmi, którzy nie służyli w ogóle w wojsku, a nie może być przecież w dzisiejszej Polsce obywatel, który by nie znał potrzeb militarnych swego kraju i nie umiał by ich zaspokoić. I właśnie według mnie Legia Akademicka ma na celu tych wszystkich, pomijając ich poglądy, skupić w blasku szabli. W Legii zanika prywata na horyzoncie wielkich myśli. Okres obecny bowiem jest okresem przełomowym, jest okresem, w którym państwa znikają z map — skreślane jednym energicznym gestem mocniejszego. I właśnie w tym okresie nie mogą być ludzie, którzy by nie przeszli przez szkołę wojskową, przez twarde żołnierskie życie.

I właśnie ci, którzy z jakichkolwiek powodów dotąd nie mogli tego uczynić, a będą w przyszłości może decydować o losach kraju — ci właśnie w szeregach

Legii przejdą ten okres hartu, bo Naród Polski musi być, musi stanowić zwartą, stalową armię, gotową na każde skinienie Wodza.

— Ale czy nie uważasz, Zbyszku, że zjednoczenie narodu i oddanie jego pod rozkazy wodza może zapoczątkować tylko ta część społeczeństwa, która przez wojsko przeszła?

Nie ulega wątpliwości przecież, że zarówno ofiarę z krwi na wojnie, jak ofiarę trudów w okresie pokoju może złożyć Ojczyźnie naszej tylko ten, kto miał zaszczyt być polskim żołnierzem. I dlatego ten urlop z życia cywilnego ma bardzo zasadnicze dla nas znaczenie, ten rok— to nie tylko rok znojnej pracy, nie tylko zdawało by się rok — to szkoła Polaka dla przyszłości — dla Polski.

— Tak, masz rację! W tej właśnie chwili przypomniały mi się pewne słowa, słowa z czarnych liter druku złożone, myśl rzucona w roku 1917 przez Człowieka, dziś znowu tak bardzo aktualne. Posłuchaj:

„...Czy bogaty, czy biedny — każdy musi spłacić dług Ojczyźnie. Tak, jak konieczną jest narodowi szkoła, tak sama konieczne jest przejście młodzieży przez wojsko. Każdy musi być do tego pociągnięty i tylko wówczas każda rodzina ma żołnierza i każdy żołnierz ma rodzinę w Ojczyźnie".

— Wiesz, Zbyszku, że słowa te, chociaż codzień czytane w sali wykładowej, mają dla nas i przyszłych pokoleń nigdy nie malejącą wagę. Są zawsze aktualne, a ich historyczna moc leży — myślę — w wielkiej prawdzie dziejów naszego narodu.



Bo jakbyśmy chcieli je rozumieć i komentować, zawsze na czoło wysuwa się sprawa sił zbrojnych. Upadaliśmy i ginęli, gdy mieliśmy tej siły w liczbie i wartości za mało — wzrastaliśmy i rozbudowali swą mocarstwowość, gdy docenilišmy konieczność posiadania silnej i wyszkolonej armii, stojącej na straży granic.

Ale pamiętać też musimy o tym, że im więcej wzbogacamy nasz kraj, rozbudowując jego przemysł, tym więcej musimy dbać o naszą siłę obronną. Dlatego szkolenie kadr podchorążych jest sprawą o niesłychanym dla państwa znaczeniu.

— A więc wracasz, Stefku, do tego, o co mnie chodzi. Może nawet nie wiesz, że idąc do ciebie, miałem właśnie zamiar pomówić z tobą na temat tego okresu wojskowego, zanalizować ten rok, który przebyliśmy w szkole podchorążych — *wziąć go pod światło.*

Bo widzisz, słyszy się różne uwagi na temat tego, co właściwie może dać podchorążówka, prócz emocjonalnych przeżyć fizycznej natury — dla takiego, naprzykład, studenta medycyny, prawnika, czy dziennikarza. Zgodziłeś się ze mną, że młodzież winna wstępować zaraz po maturze do wojska — ale czy sądzisz, że wtedy więcej zyska dla siebie? Ja uważam, że zysk będzie taki sam. Wojsko daje wszystkim—bez względu na to, czy odbywający służbę jest już po studiach, czy przed nimi — jednakowe wyniki. Najlepiej możemy to przecież zaobserwować między sobą, gdzie jest wielka skala cywilnego, — że się tak wy-

rażę — wykształcenia. A jednak często zdarza się, iż zwykły maturzysta lepiej orientuje się naprzykład w instrukcji strzelania, czy topografii od studenta politechniki.

A teraz, — czy nie uważasz, że warto się zastanowić nad tym, jaki właściwie dorobek wyniesie każdy z nas z tego, jak ty się wyraziłeś, jednorocznego urlopu z życia cywilnego. Niewątpliwie rok ten nie zostanie bez wpływu na dalszy rozwój intelektualny, bo jest przecież wiele poważnych tematów, np. z dziedziny nauki służby — która niczym innym przecież nie jest, jak urabianiem i kształceniem stałości i prawości charakteru.

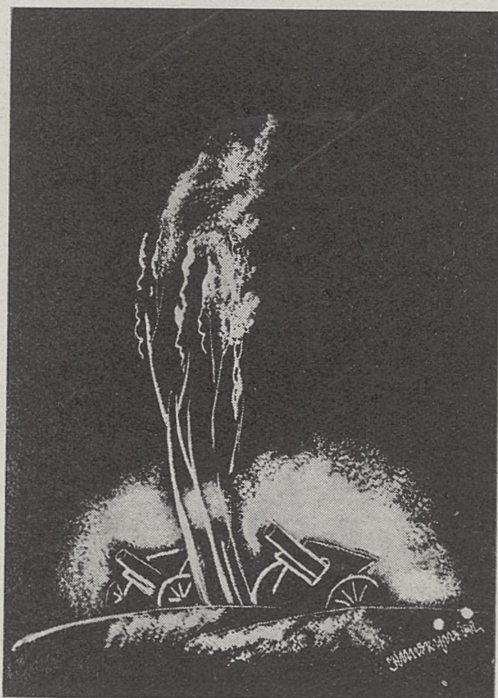
Uważam, że nic tak nie kształci wolę i nie ujmuje w karby wszelką orientację myślową, jak właśnie wojsko. Prócz praktycznych korzyści — bo pewne przedmioty dają nam je -- osiągamy przez przejście tego okresu wojskowo— korzystne zahamowanie gorących i nieświadomie może niebezpiecznych dążeń, czy to politycznych, czy gospodarczych, czy społecznych młodego obywatela.

Rok ten jest pewnego rodzaju postem, oziębieniem umysłów — dlatego też po wyjściu z wojska wszelkiego rodzaju dążenia nie będą planowane na gorąco — tak *ad hoc* — lecz z rozmysłem, bo właśnie tego rozmysłu i celowości uczy nas wojsko. Czy nie uważasz, Stefanie, że każda najdrobniejsza nawet rzecz może być w skutkach szalenie ważna, a w wojsku zaczyna się od rzeczy najdrobniejszych — tym samym jeszcze jeden nasz dorobek: systematyczność i ustopniowana pilność.

— To prawda, ale jeszcze może cenniejszym osiągnięciem jest, gdy ten rok pod światło bierzemy — wejście w najzupełniej nowy krąg zainteresowań: wiedza wojskowa. Przekonuje nas ona przede wszystkim, jak dalece osiągnięcia militarne zależą od współdziałania poszczególnych czynników wojskowych, ich wyszkolenia i solidności w robocie. Co tu dużo mówić! — wojsko uczy solidarności, której jakże nam brak w naszym życiu cywilnym.

— A więc, Stefanie! Ten urlop jednoroczny naszego cywilnego życia jest jednak czymś więcej, niż rokiem, który *musi* się przejść, bo tak każe paragraf o powszechnym obowiązku służby wojskowej. Jest czymś niezbędnym dla każdego, kto chce nazwać się obywatelem Państwa Polskiego.

Podch. podch. Zb. Budzyński
St. Boratyński



Wiem

nad Polską dyskutować nie trzeba.
Tu jest, tu granice tkwią.
Pachnie czerstwym, razowym chlebem
— wsią.

Wiem: śmierć jest, kiedy kwiaty więdną.
Nad twą głową kołuje jak ćma.
Nie uciekniesz, nie ukryjesz się przed nią
— trwa.

Więc się nie bój, że twe młode oczy
w polu gdzieś zaleje mrok.
Serce z piersi będzie chciało wyskoczyć,
ale nogi zgubią krok.

Wiedz: w puchowej pościeli umrzesz,
czy jak lotnik na podniebiu wysoko,
zawsze jedną sporządzą ci trumnę
i zakopią głęboko.

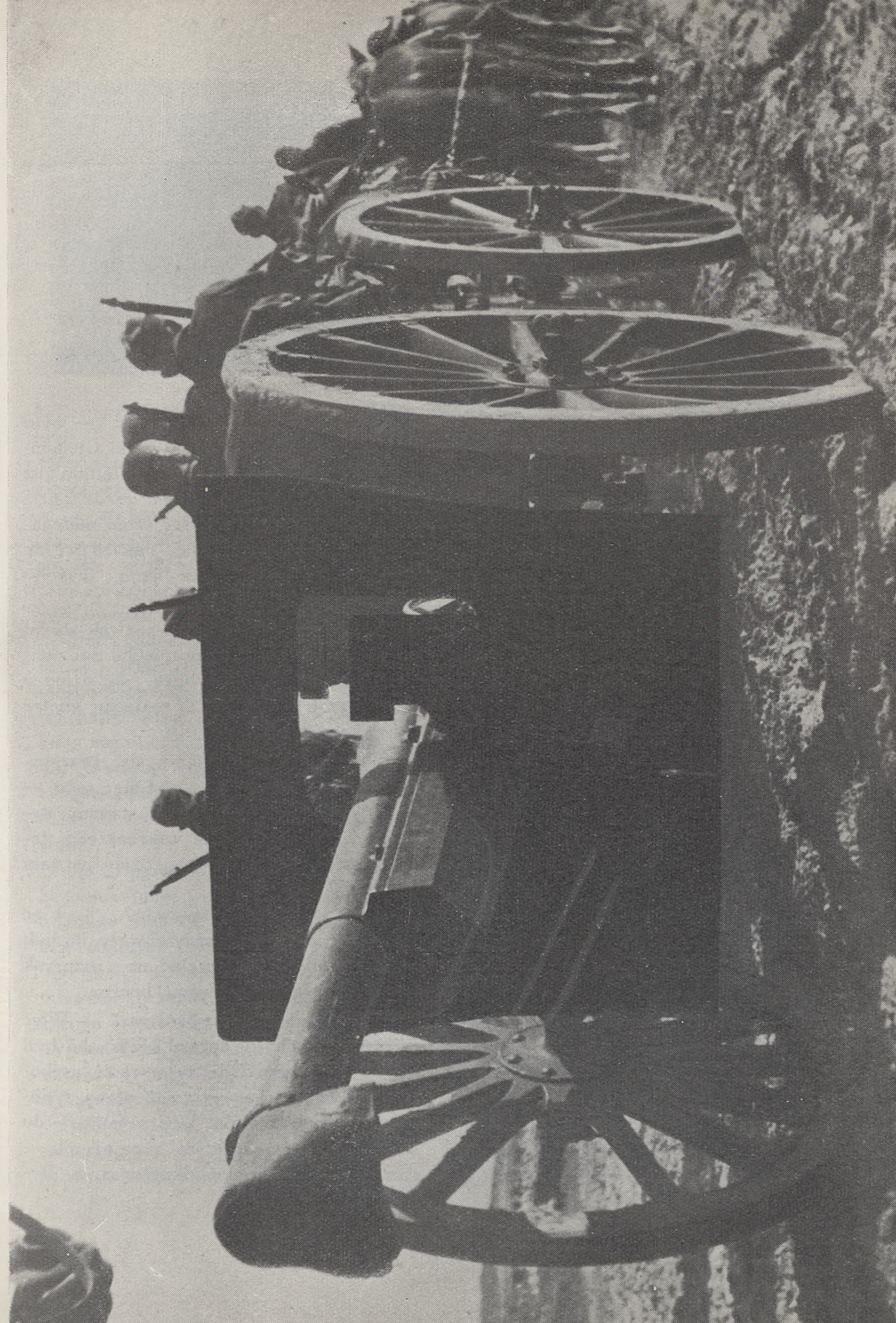
O przyjacielu nieznany, któremu wiersz ten podaję,
oto filozofia prosta, dławiąca za gardło jak płacz:
śmierć zawsze jednakowa i Polska pachnąca majem
— w tym wszystko masz.

A że za poryw jak płomień
tylko kula czerwony medal na pierś złoży
i na kostniejące dłonie
opadnie sen czarny oddechem bożym

— to nieważne, to nieważne, przyjacielu.
Jedno tylko wartość ma naprawdę:
za twe życie — jedno z wielu,
pod kulami Polska nie upadnie.

Podch. Henryk Chuzik





NASTĘPNYM ROCZNIKOM





Dla przyszłych pokoleń włodzimierskich piszemy i wydajemy taki rocznik jak ten, dla naszych *„SPRA — wnuków“*, aby im była i nauką, i zabawą, i pociechą wieść o tym, jak się tu dawniej działo. Ale przede wszystkim dla siebie samych piszemy, żeby po latach łatwiej wspomnieć, żeby się pośmiać i rozrzewnić. Więc chciałoby się nie tylko głupstewka pisać dla chwileczki wesołości, ale zostawić coś ważnego, poważnego, coś ostatecznego, zawrzeć w kilku zdaniach prawdę o tym roku, tak osobnym od innych lat naszego życia,



będącym epoką samą w sobie: — *było tak.* Co powiedzieć? — Wielki Clemenceau tak rozpoczyna swe pamiętniki już nad grobem pisane: *„Żyłem wśród zgiełku i wrzawy, a oto słyszę kroki nadchodzącej ciszy. Jakie słowa powiedzieć na sam ostatek? Mądrość moją wyśpiewać — czy moje szaleństwo?“*

Ach! — i my żyliśmy przez rok wśród wrzawy i zgiełku, w pośpiechu codziennej służby i oto przybliża się dzień o treści aż trudnej dziś do pojęcia: *koniec wojska.*

Skończy się, rozlecimy się, przestaniemy być *„nami“*, aby stać się *„sobą“*— każdym z osobna. Więc zostawmy wyrazy o magicznej sile wskrzeszenia tego, co było. Co by powiedzieć na sam ostatek?

Mądrość naszą wyśpiewać?... — Więc czasy repetycyjne, czasy chwały, bo byli i tacy, co umieli strzelać na rozprysk całą baterią z obserwacją boczną.

... — czy nasze szaleństwo? — Więc czasy repetycyjne, czasy klęski, bo byli i tacy, co twierdzili, że w razie uszkodzenia lufy należy strzelać przez cylinder oporopowrotnika, a na pytanie — do czego służą kapturki na zapalnikach — *„wyjaśniali“*, że do odkapturzania. By-



ły triumfy i klęski. Było na ogół dobrze. To przyjemne po paru miesiącach *„otrzaskanie“* z nowym życiem, z rzeczami, które przestały być nadzwyczajne, a przecież pozostały zawsze atrakcją, a nadewszystko — *konie!* I parę momentów wspaniałej, zwariowanej wesołości, wybuchającej ni stąd ni zowąd bez powodu, w najmniej odpowiednich chwilach, że nagle wszyscy muszą się śmiać i drzeć w niebogłosy. I parę razy niespodziewane wzruszenie i *„nastrój“* jak naprzykład 11 listopada po króciutkim, naprawdę żołnierskim przemówieniu dowódcy baterii. I czasem rozkoszne zmęczenie po całodniowym wyjeździe *„ w teren“* — zupełnie, jak po nartach.

Ale to przecież nie wszystko! Jeszcze beznadziejność niejednego szarego i nudnego dnia od działoczynów *„przemarkowanych“* po przez przedrzemaną instrukcję, przesiedzianą bezmyślnie na taborecie przerwę obiadową, dnia wlokącego się aż gdzieś do ospałej gawędy na tzw. *łajfie* (piąta — siódma: nauka własna) i godzinnego snucia się z kąta w kąt od kolacji do capstrzyku.

I to jeszcze nie wszystko! — ...jeszcze szaleńcze godziny przed pierwszym urlopem i własne zdumienie po przyjeździe do domu, kiedy na starym i znanym tle okazujemy się inni, niż dawniej. I jeszcze czarna melancholia w ten wieczór, pierwszy po powrocie z *„pieleszy“*, że oto trzeba od nowa liczyć dni na dziesiątki, dzielące od Wielkanocy.

Aż wstyd jeszcze raz przeżywać tak dokładnie to samo, co tyle już pokoleń — przepraszam, *roczników* przeżywało — te same emocje i radości i strachy, chwile rozbawienia i chwile chandry. Aż irytujące jest uczucie, że trudno co świeżego, nowego powiedzieć, bo to wszystko było tyle razy mówione i pisane.

Chciałoby się przecież zostawić przynajmniej skarb swego doświadczenia potomnym — i jakby go im przekazać? Powstają więc *„złote myśli“* i aforyzmy, wspaniałe rady potężne przez swą prostotę, uwiecznione na szafkach od tyłu, w jaszczach na wewnętrznej stronie skrzyń nabojowych, w kącie działowni



na ścianie, i w... areszcie, maksymy w rodzaju: *„grunt się nie przejmować“*, *„egzamin to strachy na lachy“*, albo *„gorliwych... biją“*, albo *„plutonowy X* (Y lub Z) *swój chłop, nie trzeba się go bać“*. Ale to na nic, trzeba tę wiedzę wojskową — najważniejszą — samemu zdobyć, trzeba być nie dzień, nie dwa w tym życiu, żeby ocenić walor i znaczeczenie — znaczenie tego doświadczenia, za które „roczniki“ płacą. I widzę, że nie zdołam w paru słowach prawdy o tym roku zawrzeć, tak jak nie da się bez pozy lub blagi, albo wprost kłamstwa — w paru słowach powiedzieć czegoś istotnego np. o miłości, lub o życiu. Jeszcze najlepsze będą aforyzmy w rodzaju: *w życiu bywa różnie* i w naszej szkole bywa *różnie*. Ale szkoda, że się kończy, że nie potrafimy już wskrzesić ani jednego takiego dnia, pełnego radości i klątw, pracy i klasycznego *dekownictwa*, końskiego zapachu i rozmów o urokach cywila.

I z przyjemnością wyobrażam sobie, że przecież coś tu po nas zostanie, prócz bazgrot na podręcznikach, prócz ścian obtłuczonych taboretami, prócz paru dyszli połamanych na *„bezecie“* i zbitych komór nabojowych. Musi coś zostać — może w powietrzu, a może w błogiej przystani markierantów, „za szafkami“ a może nas zapamięta plac sportowy, ten co jesienią widział i czuł nasze pierwsze nieporadne *„kroki ćwiczebne“* — i ośnieżony w zimie przeżył z nami wyszkolenie piechoty i męki „luźnej musztry‘ ‘i znów wiosenny i zielony głuchł od hałasu lkm‘ów, z których waliliśmy — starzy wyjadacze.

Podch. Antoni Szymanowski



WIOSNA W BATERII

Niekiedy,
teraz,
gdy już mamy wiosnę,
jakieś sobie we mnie
— przepraszam —
pęcznieją myśli wpół radosne.
Przychodzą, wietrzeją i znowu wracają
brudne, nieprzyzwoite, ciągłe, bezustanne...
— spokoju nie dają.

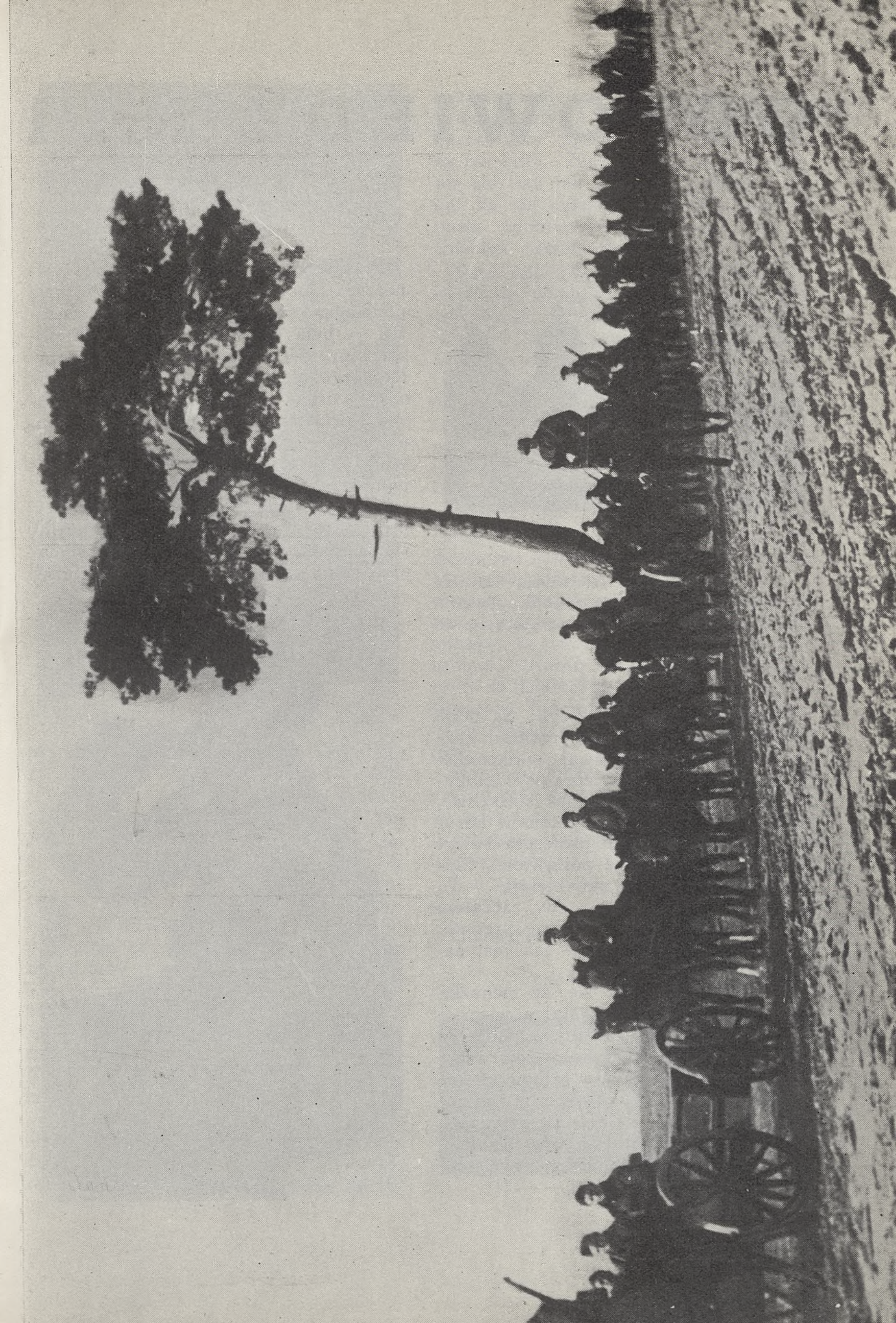
Bo przyznam się:
mnie jest potrzebny sentymentalizm,
nastrój mięciutki i rzewny.
Że wierzby płaczą,
że ludzie prości,
że król był i były królewny.

I sny mnie kochane
trapią wierszowane:

że wojna,
że wróg,
że armaty pąkami nabito,
że z luf bukietami wylatują kwiaty
i w miejscu wybuchu falujące żyto,
że w prawo 20 fijołki pewno rosną,
a cała baterja opiła się wiosną.

Podch. Jan Golka





ODPOWIEDŹ Nr. 1



Ta „odpowiedź" (cywilom) zawiera najpierwsze wrażenia z wojska. Powstała w kilka zaledwie dni po przybyciu do SPRA.

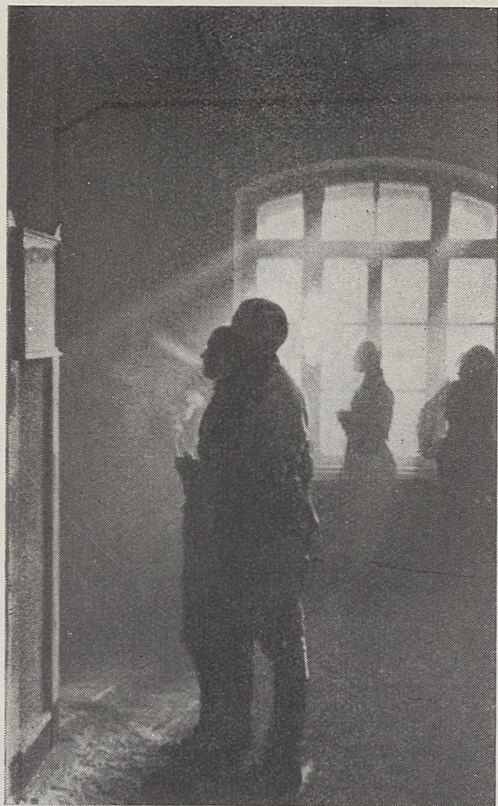
Straszyli. Bardzo straszyli. Są takie ciemne typy, które zna na przykład każdy, kto w życiu zdawał jakikolwiek egzamin. Jeszcze z wieczora poprzedniego dnia wymyślają jakieś straszliwe, fantastyczne pytania — potem w korytarzu przed gabinetem profesora twierdzą, że wczoraj im je postawiono. Słuchaczom naturalnie „oko bieleje". To samo było z wojskiem, gdy zacząłem ankietę wśród tych, co już je przeszli, na temat: „bez bujania — jak jest naprawdę?"

A więc — dowiedz się, że menażka nigdy nie jest dosyć czysta! a więc — będziesz spał *cztery* godziny na dobę, nie mówiąc o alarmach! a więc — pierwszego dnia masz wskoczyć w galopie na kania i fiknąć kozła! a w twoich butach powinna się móc Greta Garbo przeglądać— bez względu na błoto! a więc dowiedz się, że za oderwany guzik przeniosą cię do pułku, a za brudne nogi — — !!

Przyjechałem. W walizce obok żywności i „odzieży" jak na wyprawę podbiegunową, oraz kolekcji szczotek — była chyba i ta mityczna buława, którą od 21 września 1937 r. zacząłem (zgodnie z instrukcjami Napoleona) — nosić w tornistrze — ściśle mówiąc tornistra jeszcze nie wyfasowałem, a zresztą — czyż są marszałkowie rezerwy?! — więc powiedzmy skromniej — pierwsza beleczka bombardierska.

No i jestem kanonierem (pierwszy plus: odrazu mam jakiś tytuł — nie jestem „rekrutem", tytuł może i skromny, ale cywile się nie znają i w domu muszą





być strasznie dumni, skoro im doniosłem, że „zostałem" kanonierem. Już!). I cóż o tym wojsku napisać? Może to śmieszne, ale chcę zacząć — od butów, w tym głębokim przekonaniu, że kto jak kto, ale moi „towarzysze broni" — ci mnie rozumieją. Trzeba mieć dobre buty! W dobrych butach jest w wojsku dobrze, a w niedobrych — źle. Jeszcze lepiej mnie zrozumiecie, gdy powiem, że dobre buty mam dopiero od trzech dni, bo z początku wiedziony chęcią wytworności wziąłem bardzo ładne, ale grubo za małe. Mój działon zaświadczy, że od trzech dni jestem innym człowiekiem. Nie zmartwiłem się nawet dzisiaj wiadomością od kapitana, że siedzę na koniu „jak Żyd wieczny tułacz" i drugą — mniej obrazową ale na wskroś bezpośrednią informacją przy działoczynach, której udzielił mi pan ogniomistrz, że jestem... nie głową, ale raczej przeciwnie. Więc — buty! A reszta da się pośrednio „przez buty" opowiedzieć. Konie — też są jak buty. Zrazu kąsają, gryzą, szarpią się (tak jak but dręczy nogę). Ale but da się ugłaskać szczotką, upieścić pastą, udobruchać ściereczką. Koń — chlebem, cukrem, ręką.

Zdaje się, że z tego wymyślnego porównania wynikałoby — że jeżeli koń jest butem, no to ja chyba — nogą. Zgadza się! To też już słyszałem. Zresztą ja się koniom nie bardzo dziwię. Taki „maharadża" (jak o nas mawia plutonowy P.) stoi trzy kroki za koniem i szepce z lękiem: „nastąp... no, nastąp..." — po czym wchodzi przez tę stronę, w którą koń się właśnie odsunął. Ja też bym kopnął.

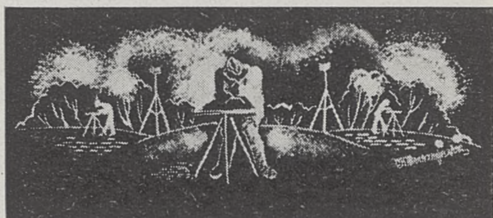
Opuszczając „szewskie" porównania chciałem o innych jeszcze aspektach tego wojska napisać — na pohybel krukom co mnie straszyli. Trudności są — owszem. Najgorzej z tym: „obsługa na wozy!" Zawsze złapię prawą ręką, zapominając, że przecież trzymam w niej karabinek. (Karabinków narazie nie zabieramy na działoczyny, ale tak twierdzi instruktor). I pomyśleć, że w Warszawie byłem znany z wskakiwania do tramwajów!

No więc dobrze, ale czym straszyliście?! Czego zawracaliście głowę? A czy wy wiecie, co to jest azymut, a co to jest przetyczka trzpienia skobla ucha wąsa osi wyrzutnika? Bo ja wiem.

I w ogóle jak wy stoicie?! To jest postawa?!!

Odmaszerować!!!

Podch. Antoni Szymanowski



Myśli extra — złote

1.

Tak się już plecie na tym bożym świecie
i taki już świata porządek:
jednego — własne gniecie sumienie,
drugiego — tylko żołądek.

2.

Złością żyje człek i tyje,
złość — to względna rzecz.
Wszystko ma swój drugi koniec
tak kijek, jak miecz.

Twój kolega paczkę dostał,
on wesół — złyś ty.
Zjedz mu jego smakołyki,
to on będzie zły.

3.

Nic strasznego upaść z konia,
prawda to — jak mur.
Zawsze wolę z konia zlecieć,
niż... z drapacza chmur.

4.

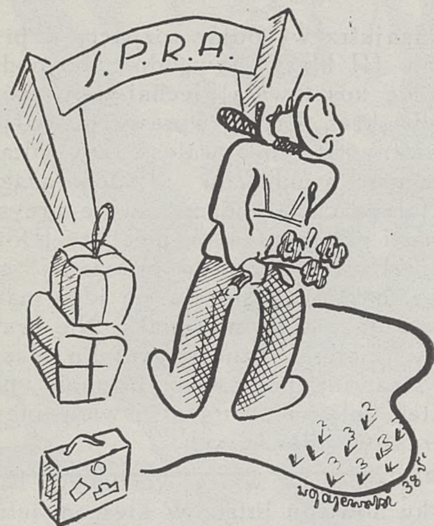
Mała, krótka, dobra chwila
szybko wschodzi i przemija,
czas zasmuca, czas umila
— czas ma twarze dwie.

„Ach!" — ktoś rzecze — „skandal czysty,
taka myśl u humorysty!"
Powiem z smutkiem, pokryjomu:
miałem wczoraj... paczkę z domu.

Podch. Tadeusz Tokarz

KAZIMIERZ BANDAR

SZEREGOWY Z CENZUSEM





wieżo upieczony dojrzały człowiek (nazwijmy go — Kazimierzem Bandarem) zgłosił się pewnego— pięknego oczywiście— majowego dzionka do Komisji Poborowej.

Właściwie, to nikt go do tego nie zmuszał. Miał jeszcze rok czasu, ale wolał właśnie zaraz po maturze iść do wojska. Zresztą, co będziemy się długo zastanawiali nad powodami, które skłoniły p. Kazimierza do stawienia się na Komisję Poborową! — dość, że obecnie widzimy go w poczekalni w otoczeniu rekrutów, czekającego na swoją kolejkę. O! — właśnie w tej chwili wchodzi policjant z kartą w ręku (tak, nawet i tutaj oni pilnują porządku).

— Następny! — rozbierać się!

— To ja jestem ten następny? — jęknął nieśmiało Bandar. — I czy tak całkiem się rozebrać?

— A co, może przez spodnie będą pana badali, nie?

Więc nasz bohater zwlókł swe szatki i kurcząc się wstydliwie podążył do sali badań. Tu naprzód określono mu dokładnie jego wzrost, potem wagę, no a potem...

— Zdrów, co?

— A tak, panie doktorze, zdrów!

— Wzrok dobry, dobrze wszystko widzi?

— Uhm! — mruknął, a jeszcze ciszej dodał: — ...wprawdzie dawno człowiek nie widział 5 zł, ale może ta „ślepota" minie.



— Proszę kasłać!

— Dobrze, panie doktorze, już kaszlę.

Potem nastąpiło dalsze skrupulatne badanie, a w końcu „zdolny, kat. A" i tradycyjny odcisk palca na jakimś dokumencie. W chwilę później kroczył dumnie Kazimierz Bandar ulicami swojego miasta i odważnie spoglądał przechodniom w oczy. „Zdolny kat. A" — rozmyślał z dumą.

Przez cały tydzień, a może i więcej, kogo tylko spotkał, to pytał się — a jak tam w tej podchorążówce? a co tam się robi?... itd, itd. Kosztowały go te wywiady dwie półczarne i porcję lodów w „Italii", wzamian za co zdobył już pewien pogląd i był — że się tak wyrażę— dobrze przygotowany do tego, aby się nie dać nabić byle komu w karafkę.

Potem były wakacje. Kazimierz Bandar wyjechał na letnisko, gdzie — rozumie się — też o niczym innym, jak tylko o wojsku, nie mówił.

— Widzisz, Krysiu — powiedział kiedyś do ukochanej — doszedłem do wniosku, że jednak powinienem wcześniej wyjechać. Wstąpię po drodze do Lwowa, zwiedzę go i w ogóle rozejrzę się.

Nazajutrz wygodnie rozparty w przedziale III klasy (wygodnie, bo podróż nic nie kosztowała) jechał, aby zacząć nowy okres. Krótki wprawdzie, bo jednoroczny, ale niebywale ważny. Miał z sobą coś 5 numerów „Podchorążaka", z którego chciał poznać swoje przyszłe życie, i pół regulaminu piechoty (Dowodzenie). A prócz tego prowianty, całą masę, o które postarała się jego mama. Czego on z sobą nie miał! Nie brakło babki, kiełbas różnego gatunku i szynki, sera, jaj, no i wino, prymus, parę kostek bulionu „Knorra" i wiele innych extraktów odżywczych.

Pociąg sunął, wioząc kochanego Kazika ku nowemu jutru. W kieszeni letniego ubrania dzwoniło mile parę złociszów,





jakie dostał na drogę. Podążał jednym słowem dostatecznie wyekwipowany.

W Lwowie, który miał zamiar zwiedzić „szczegółowo" — był raz w kinie na „Znachorze", potem coś ze cztery razy został zapisany przez policjanta za nieprawidłowe przechodzenie przez jezdnię (Lwów żył akurat wtedy pod znakiem: *przechodź prostopadle do chodnika).* Potem zamiast na kopiec Unii Lubelskiej zataszczył się na górę Łysą. Dopiero po godzinnym wdrapywaniu się spostrzegł, że właśnie vis a vis wznosi się właściwy kopiec. Ale co było robić? Otarł pot z czoła i począł schodzić zrezygnowany, aby wdrapywać się za chwilę na właściwy cel swej eskapady. Po drodze wypił dwadzieścia szklanek ciepławej lemoniady, zgubił kapelusz i wkońcu wrócił na noc do domu techników, pobrzękując melancholijnie 50 groszówką — drobnymi.

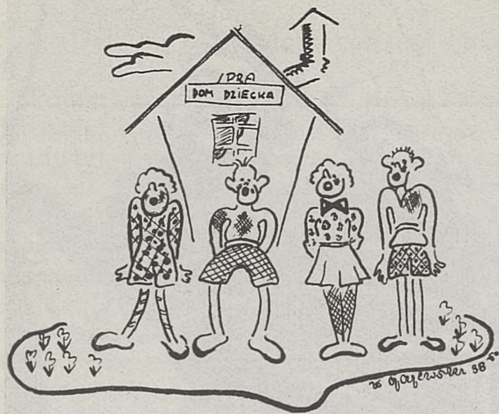
A tymczasem godzina za godziną zbliżał się dzień, w którym pan Kazik miał przekroczyć pewną bramę z drewnianym szyldem i wartownikiem z boku przy budce. Wreszcie przyszedł.

— Proczę panów ustawić się według kolejności D. O. K. Na czele ci, którzy mają ukończone studia weterynaryjne... — komenderował jakiś głos. Wśród kilkuset młodych ludzi bardzo różnie ubranych rozpoczął się ruch.

— Przepraszam pana, panie kolego, do którego D. O. K. należy właściwie moja miejscowość?. Bo ja bym chciał się dostać do „ciężkiej"! Panowie nie wiecie, co jest dobre, nie ma to jak „ciężka", człowiek tylko tam może się „zadekować"!

— Ech, karawaniarze! — rzucił któryś pogardliwie.

Jakiś młody człowiek w szarej marynarce, tenisowych spodniach i białych pantoflach stał po środku grupki przyszłych podchorążych i gorąco rozprawiał: tak, tak... proszę panów to wszystko frajer, grunt to głowa na karku. Jak



kto chce być w „daku", to niech wali do pierwszej, a kto chce się lekko zadekować na poligonie, to tylko do „pacu". A kto chce iść do pensjonatu rodzinnego to do 7-ej. Tam można i patki nieprzepisowe nosić i z włosami też nie tak gonią...

Takie i tym podobne rozmówki toczyły się wokół. Nic więc dziwnego, że nasz Bandar dostał odrazu wypieków na twarzy i gdy wreszcie wszedł do sali, gdzie rozdzielano do poszczególnych baterii, doprawdy nie wiedział co z sobą zrobić. Kręcił się od stolika do stolika, z każdego szeregu w ostatniej chwili się wycofując. Wkońcu dostał się do „pierwszej", zupełnie przez przypadek. Ma się rozumieć, że odrazu zapytał się o szefa baterii. Ktoś z miłym i wiele obiecującym uśmiechem uświadomił go: st. ogniomistrz B. — Bandarowi zrobiło się słabo. No, ale trudno, wciągnięto go na listę i odtąd zaliczał się do szeregowych z cenzusem owej sławnej baterii.

— A słońce świeciło jasno i wesoło nad białym domkiem i ślizgało się po dwóch starych armatach, stojących wśród klombów.

I tak Kazimierz Bandar absolwent gimnazjum matematyczno - przyrodniczego z... — mniejsza skąd — został uczniem S. P. R. A.

— — — — — — — — —

— Zerem? — jedynką? — dwójką? — pana podchorążego?

— Ocho! — pomyślał Bandar: „pana podchorążego" — to nie byle co! — rozparł się wygodnie w krześle, spojrzał z zadowoleniem w swe odbicie w lustrze i naraz zbladł. Jego blond loki, z których był tak dumny, poczęły padać jak ścięte kwiaty (tak by powiedział poeta) na biały fartuch. Trudno! — służba nie drużba — pomyślał.

Po chwili „salon fryzjerski" rozbrzmiewał drwinami. Jeden z drugiego się śmiał, a wszyscy razem też dość pociesznie wyglądali.

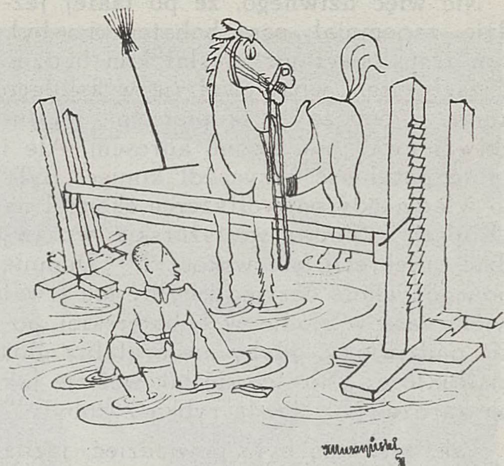
Przez parę dni — to właściwie nie było wojska. Kazimierz Bandar był tym mile zdziwiony, bo i wszyscy do niego per „pan" mówili, wprawdzie nie „pan podchorąży", ale nie zwracał na to uwagi. Później dowiedział się od szefa, że: „ty łajzo! ty lumpie szkaradny! jeszcze nie jesteście podchorążym! Tylko kelner, szewc i krawiec to mówią do was



panie podchorąży. Jeszcze dużo wazeliny wysmarujecie, nim was się tak nazwie!"

Najciekawszym z tych jego pierwszych dni było umundurowanie. Po pięciu wchodzili do sali — rozebrani ze swoich szatek cywilnych do... (nie wiem, czy można napisać, że byli w kalesonach?). Podoficer mundurowy rzucił każdemu pewną część garderoby i notował. Zdziwiło to trochę Bandara, że tak na oko bez miary — tym bardziej, że dostał dwie pary spodni, jedne z wielką łatą (i o dziwo — skórzaną!), dwie pary butów, kurtki dwie, pasków bez liku, które plutonowy nazywał trokami. Pozatem zafasowali mu tornister. Tak hojnie obdarowany udał się do swego działonu. (Mylił się ciągle i zamiast „działon" mówił, że idzie na swoją - działkę). Wiele kłopotów miał następnie przy sprawdzaniu swego dobytku. Głowił się





biedaczysko nad przeznaczeniem poszczególnych części. Coś z pół godziny chodził wśród kolegów i wypytywał się wszystkich, pokazując dwie szmatki, połączone dwiema tasiemkami — do czego to coś może służyć? Okazało się, że to były nauszniki!

A najwięcej chyba kłopotu miał z niezbędnikiem. Gdy się go spytano, czy zafasował niezbędnik — myślał po prostu, że koledzy urządzają sobie z niego kpiny. Potem z poważną miną odparował, że już ma 20 lat i że jest całkiem dojrzałym — co zostało na piśmie stwierdzone — i że już dawno, jak przestał... — wogóle wynikło nieporozumienie.

Potem doszły do majątku Bandara książki, tabele różnego rodzaju, mapy itp. mądre rzeczy, których zbędność w szafce przeklinał.

A potem zaczęło się wojsko. Z początku dość delikatnie obchodzono się z Bandarem i tylko z daleka spoglądał na konie, potem kazali mu je czyścić, oprowadzać po ujeżdżalni, a wreszcie nasz Kazio zaczął jeździć konno. I właśnie wtedy dowiedział się wielu rzeczy z wojskowego repertuaru, wiele ciekawych i nowych powiedzonek o sobie usłyszał. Dowiedział się, że na koniu nie siedzi się jak małpa na brzytwie — powiedziano mu, do czego właściwie służą łydki i że do konia to się nie powinno mówić.

Nic więc dziwnego, że po takiej jeździe zapomniał nasz bohater kim był, kim jest, nawet nie myślał kim będzie. Z zachwytem wpatrywał się w każdego konia, z pobożnym skupieniem wysłuchiwał uwag pod swoim adresem. Ale i na tę potulność przyszedł koniec. Było to wtedy, gdy na woltyżerce skoczył na „Elipsę". Siodło woltyżerskie wprawdzie przekręcił, ale wskoczył. Dumnie powiódł wkoło oczyma i byłby tak trwał wieki całe w siodle w bohaterskiej pozie podziwiany, gdyby nie brutalny głos instruktora: „No i co się tak wozicie jak na karuzeli? — jazda rybką z kobyły!"

Tak, łatwo to było powiedzieć, jazda rybką, ale jak? Wkońcu trzeba było zrobić tę nieszczęsną rybkę i proszę sobie wyobrazić, że całkiem dobrze to wypadło. Może była w tym i zasługa kobyły, bo akurat wierzgnęła tak, że Kazik lekko mógł „sfrunąć" na ujeżdżalnię. Ale od tego czasu nabrał fasonu i już powiedział, że nie da sobie w kaszę dmuchać. Zaczął też być prawdziwym szeregowym z cenzusem.

Nikt tak świetnie nie dekował się od działowni. Do stajni czyścić konie też nie chodził. Zawsze miał jakieś inne, bardziej pożyteczne i ważne zajęcie — został mianowicie członkiem K. K. O. Nie jest to, broń Boże, owa czcigodna instytucja oszczędnościowa— choć i ta oszczędzała cenzusowców od mycia dział, okien i w ogóle od robienia różnego rodzaju porządków w sobotę. K.K.O. szkolne, to Koło Kulturalno - Oświatowe, koło składające się z wielu drobnych kółeczek, będących schroniskiem i przytułkiem wszelkiego rodzaju malarzy — dekowników, literatów — dekowników, artystów teatralnych — dekowników, nawet opiekunów niemowląt — ma się rozumieć również dekowników.





Z tymi ostatnimi to też była historia. S. P. R. A. — jak wiadomo — ma swój sierociniec — „Dom Dziecka" — który utrzymuje. Otóż zaraz na początku pobytu p. Bandara w wojsku zaprowadzono wszystkich, aby mogli obejrzeć ten sierociniec. Był ładny dzień. Ustawili ich przed niedużym, parterowym domkiem. Przed domkiem stała grupka dzieci i ich opiekunka. Dzieci śpiewały bez przerwy różnego rodzaju wiązanki pieśni legionowych, a nauczycielka... — wszystko jedno co robiła; przypuśćmy, że stała obok, nie zwracając na nikogo uwagi. Zrobiła się naraz cisza, przed front wyszedł kapitan i zaczął przemawiać: „Żołnierze, oto owoc pracy poprzednich roczników". Bandar zapłonił się jak panna pod wpływem myśli, które go nawiedziły, gdzieś z dalszych szeregów odezwał się chichot.

Pan kapitan mówił dalej: — „właśnie z sum uzyskanych przez zrzeczenie się należnego wam żołdu, został wybudowany ten dom, w którym tyle a tyle dzieci znajduje dach nad głową i ciepłą strawę".

Wszyscy głęboko odetchnęli. Wprawdzie niektórzy byli lekko rozczarowani— no, ale to nic!

Potem nieświadomi dobroczyńcy zwiedzali sierociniec, potem zaczął padać deszcz i zrobiło się — jak zwykle we Włodzimierzu — błoto i Bandar powrócił wzruszony do baterii.

— No, tak, mógłbym pisać tak bez końca jednoroczne dzieje szeregowego w cenzusem K. Bandara, ale przecież każdy z nas i z was to samo przeżywał, te same kłopoty miał, więc — tyle chyba wystarczy — prawda?

Podch. Zb. Budzyński

NOWA INSTRUKCJA STRZELANIA

albo gdy inne sposoby zawiodą

W rysunku tym, moi drodzy,
jest skierowanie na dozór.
Sprawa skomplikowana srodze
i zawiła na pozór.

Natomiast w gruncie rzeczy
łatwa i prosta jak koło
— choć taki pomysł człowieczy
może się wydać wesoły.

Pardon! — conajmniej wesoły,
a nawet być może komiczny.
Niemniej uchylmy czoła
i podziw swój wzniośle okrzyczmy.

Tymbardziej, że tylko potrzeba
tygrysa, murzyna i jeszcze
dwóch panów kapitanów
i trochę fantazji wieszczej.

Jeden z p. oficerów
stanie tam, gdzie bateria
— może być w polu szczerym —
z tygrysem z menażerii.

Drugi — nie bez przyczyny
na punkcie obserwacyjnym
będzie wypuszczał murzyna
na dozór ten czy inny.

A widząc to tygrys, najdrożsi,
pogna za czarnym przysmakiem,
co sprawę niezmiernie uprości
z wynikiem mniej więcej takim:

w pogoni za negrem tygrys
linię wykreśli prostą,
aby go w końcu gdzieś zagryźć
wśród kwiatków, które rosną.

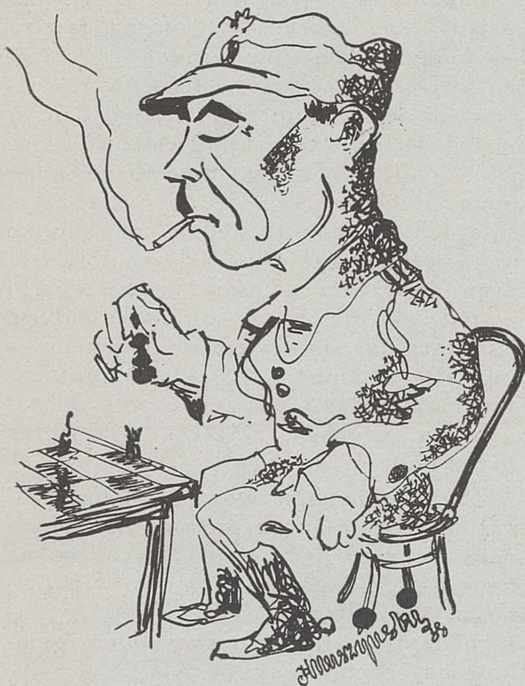
Ta prosta zaś, moi mili,
to właśnie kierunek dozorczy,
więc teraz tylko wystrzelić,
choćby przymknąwszy oczy.

Lecz jedno mnie niepokoi
i o odpowiedź proszę:
— co będzie, jeśli tygrys
okaże się jaroszem?

Ha—ha



AKADEMIA OD STRONY KUCHNI



— No, dobrze... — powiedział pan kapitan, szeleszcząc w ręku karteczką, na której wypisałem pracowicie ułożony program pana-marszałkowej akademii.

— Tak... ale, kolego wojskowy, powiedzcie mi, gdzież jest ta wesoła część, żeby się ludziska pośmieli serdecznie. Imieniny Wodza trzeba obchodzić na wesoło. Pamiętajcie: żołnierz powinien śmiać się całą gębą, bo powołanie ma trudne. Tak czy nie?

— Tak jest, panie kapitanie!

— No więc?

— Tak jest, panie kapitanie!

I poszedłem. Kiedym za drzwiami furażerkę na głowę nacisnął, opamiętałem się: pocóżem, oferma jedna, obiecywał i „tak jest" przysięgał! Jak ja to zrobię? — I chociaż powinienem prosić dobre duchy o jakiś okruch wesołości, omal żem się nie rozpłakał. Na szczęście silny powiew z korytarza udaremnił mi to w zupełności: zatkało mnie, choć tylko na moment, bo zaraz ryknąłem:

— Zamknijcież te drzwi, do diabła...! — i szeptem — ...kolego!

Dlatego szeptem, gdyż poprzednim głosem chciałem obdarować go brzydkim słowem, a żołnierz powinien się tego wystrzegać. Tak jest, panie kapitanie! — Więc powstrzymawszy się, odmaszerowałem wraz z niespokojnymi myślami.

Dobrze, już ja wam pokażę tę wesołość...! Tylko, jak ja to zrobię? Szef, kiedy chce, aby strach padł na baterię, gwizdnie i wystarczy — a ja bezsilny. W wierzeniach dzikich ludów spotykamy różnych bogów: zła, dobra, płodności, ubóstwa, dobrobytu... — pewnie znalazłby się jakiś bóg śmiechu. A tak, kogo prosić?

Na naukę własną zwolniłem się, aby pisać. Pan plutonowy nie krył wcale swego podejrzenia.

— Dlaczego?

— Melduję posłusznie, mam pisać.

— Pisać?

— Tak jest, pisać.

— A co pisać?

— W ogóle mam pisać, a na akademię w szczególności.

— Na akademię?

— Tak jest, pisać na akademię.

— Na jaką akademię?

Rozmówka trwała przez dobre 7 minut, przy czym stale powtarzało się: pisać, akademia, pisać, akademia w ogóle, w ogóle pisać, pisać... Wreszcie zmęczony jak po śledztwie uciekłem do palarni, gdzie przez dalsze 5 minut dyszałem ze zmęczenia, zanim powstało pierwsze



zdanie. Ale zaraz po tym przez otwarte pędem ucieczki drzwi spokojnego, dusznego pokoiku — głos szefa, oznajmiony gwizdkiem:

— Z chwilą służbowy zapowie „przygotowanie do nauki własnej", nie śmie być żadne łażenie po palarniach, ustępach, wysiadywanie na sedesach i tym podobne. To nie dowodzi, że ktoś jak raz chce wtedy! Przygotowanie to przygotowanie, miał czas przed tym, spocznij! I juuuż na salę!

Na działonach nagły szum, tupot nóg, trzask otwieranych i zamykanych pośpiesznie szafek. Hałas ciężkich butów przewala się w przejściach i tłoczy strumieniem na salę wykładową. Z najbliższego działonu denerwujące piski i za chwilę słowa:

— Uważaj, ofermo, nie łaź mi po stołku, wczoraj myłem! To nie możesz tamtędy ganiać?

— Nie.

— Co znaczy „nie"?

— Po prostu: przeczenie.

— Ja ci dam przeczenie!

— O, tybyś coś dał, sobek warszawski.

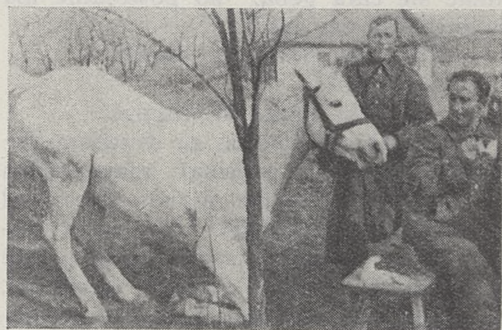
Oczywiście przyjacielska pogawędka z konieczności została przerwana, bo nagle znowu ostry gwizdek szefa gdzieś od schodów i znany zachrypnięty głos:

— Tylko listów nie pisać, a uczyć się. A jak już bardzo chcecie któryś, to tylko, że sny macie niespokojne. Ucieszy się taka panna, spocznij!

Pan st. ogniomistrz jest człowiekiem, obdarzającym baterię niezliczoną ilością rad: jak łóżka ścielić, *„aby Karpatów nie było"*, jak taborety myć pod studnią, jak salę zamiatać (*„naprzód delikatnie skropić, to jak raz będzie dobrze!"*), jak schody pucować, aby były bielutkie i dziewicze. Zdawałoby się, że jedyną jego namiętnością jesteśmy my — to zgromadzenie torb żebraczych, oferm, łajzów wszelakich, dziadków leśnych i sirot zakatarzonych, garbusów, ślepców i służbowych, którzy potrafią tylko bździć w mebel — czyli stu i kilku cenzusowców. Nie mniej jednak tego dnia los zechciał mnie przekonać, że drugą pasją szefa są szachy — bo gdy siedziałem cichutko w kącie obok radia, naraz współotwarte drzwi walnęły na oścież z hałasem i wszedł właśnie on: ojciec i matka baterii, karmiąca nas stale własnym krzykiem — pan st. ogniomistrz. A za nim plutonowy, mający takie olbrzymie pole do popisu na terenach, zajętych dotychczas przez policję śledczą.

Zbyt skromnie wyglądam w obszernej kurtce i odstających karawaszach, bym żalił się dlatego, że nie zwrócono na mnie uwagi. Nie chodzi mi o to w zupełności, stwierdzam jedynie fakt, że natychmiast zajęli się rozstawianiem pionków na szachownicy.

Po głowie zresztą chodziło mi tysiące pomysłów. Coś w rodzaju nieuchwytnych szczurów. Więc coby to było, gdyby obsługa składała się ze 100% gentlemanów, a działowy (jako że również grzeczny) powiada: „panowie obsługa— z wozów! — dozór nr. 1, zmniejszyjcie, kochani, o 150, rozwinięcie natomiast o



15 — panowie wręczyciele bez zastanowienia!". Nikt nikomu słowa grzesznego by nie powiedział, rodziny za kark nie wywlekał — inaczej jakie piękne byłyby to działokpiny. Od czasu do czasu pan porucznik papierosikiem by poczęstował, o zdrowie zapytał i mamusi kazał się kłaniać.

Ale nie mogłem, nie umiałem, pamiętając ostrą rzeczywistość — zresztą obok toczyła się gorąca walka szachowa, przerywana często głośnymi uderzeniami pięścią w stół. A oprócz tego przez ścianę z 5-ej ktoś rozpaczliwie darł jakieś tango.

— To może szach zrobimy?

— Tylko? To my sobie takim koniem pójdziemy, trudno! I nawet dobrze, żeście mi konia zostawili, panie kolego.

— A co miałem robić, królówkę dać? Królówkę przecież tylko mam.

Przy stoliku i za ścianą znowu cisza, bo umilkł irytujący śpiewo-ryk, więc i pomysły wróciły szumem. A może by tak napisać o — przypuśćmy — ...Ale już walka przy stoliku znowu.

— No, tak. Jak koniecznie musiemy się bić, to na wszelki wypadek ja tu, trudno!

— To ja tak.

— Proszę bardzo, panie kolego, w ręku nie ma nicz!

— Ja tyż. No i żeby te wieże nas nie straszyły.

— Dobra. To ja szach.

— To nic.

— Nic?

— A nic.

— To ja znowu szach.





— Tyż nic.

— Nicz?

— Eche!

— No, to będziemy brykać wobec tego, brykać, taaak! Koń może brykać, nie?

— To ja naprzód.

— Tu?

— A tu.

— To ja tu.

— Z powodu?

— Z powodu rozwodu łóżko do sprzedania.

— Co to było?

— Nic, tak sobie skoczyłem.

— Hm, to uciekamy... Albo nie: szach!

— Acha, acha... Tak? Koń może brykać, prawda? Raz — tu, drugi raz — tu... (cmokanie). Co on mi chce zrobić, psiakrew! Nawet dobrze wykombinował, bo ja się stąd nie odstawię, tu się nie odstawię... Juś!

— W ten sposób?

— W ten deseń.

— Ale ja i tak nie będę bił. Widzi pan, jaki jestem ustępliwy.

— No, to ja w te wieże.

— Co?

— Te wieże mówię.

— I naprawdę chce pan wziąć wieże?

— Acha!

— I tak murowanie i bezczelnie?

— Acha!

— No, to ja po królówkę. I szach powiem.

— Gdzie?

— Jak to gdzie?

— Nie wolno go bić, nie wolno go bić, panie kolego!

— To tak.

— Dobra, zgębimy tego wariata, niech go diabli wezmą!

— To my tu, my sobie z koniem.

— Gdzie on polezie?

— No, gdzie... albo na białe, albo na czarne.

— Nie puszczę, panie kolego, nie puszczę jak złoto. Szach!

— Nie szkodzi.

— To tak, już!

— Juś pan mówi?

— Juś i szach.

— To ja tyż.

— Szach!

— To ja tu.

— To po królówkę dziewicę.

— Proszę!

— I znowu szach! Widzi pan, ja już wygrałem (pan szef cieszy się), ja już wygrałem!

Tylko plutonowy nie może się pogodzić i gdy gwałtownie odsuwane krzesła kończą zaciętą walkę, czerwony z rozżalenia tłumaczy się:

— Bo ja królem powinienem pod konia i gdyby go za gardło... ale tak, to nasypali piasku!

— He, he, he...! Żeby ciocię postawić do góry nogami, byłaby z niej skarbonka.

Trzask drzwi i poszli.

Niestety zaraz po tym cichutko do palarni wślizgnął się kolega.

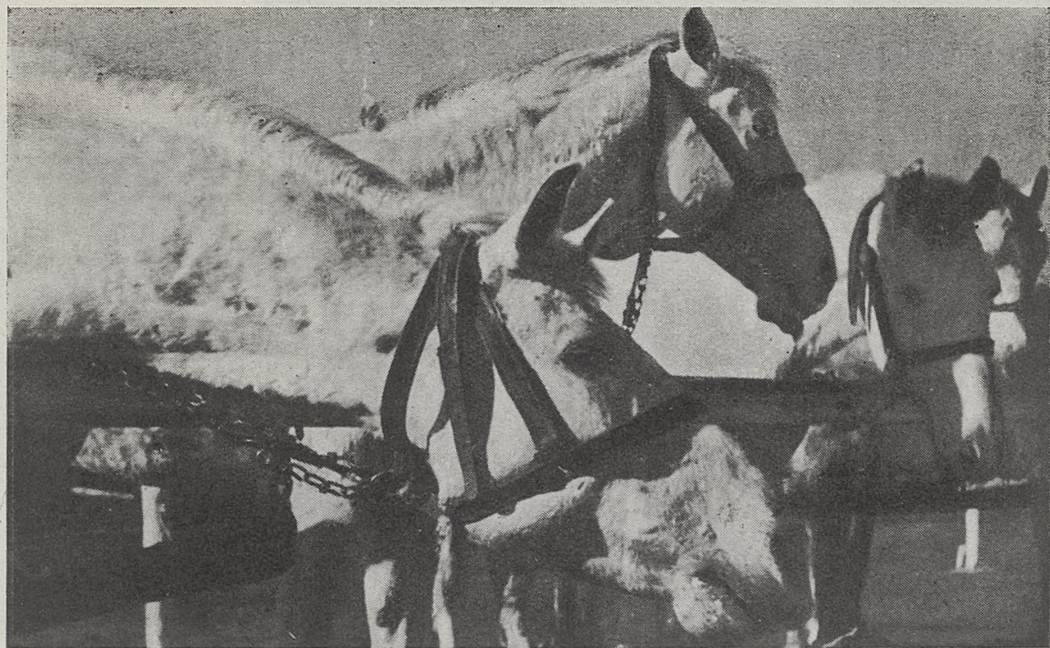
— Nic, nic! Ja ci nie będę przeszkadzał.

Za nim drugi — to samo. Po kilku sekundach trzeci i piąty. Każdy przechodząc obok musiał obowiązkowo zajrzeć przez moje ramię na rozłożoną czystą kartkę, pogładzić po głowie (co za zwyczaje!) i westchnąć nad ciężką dolą literata.

— Żeby was ziemia pochłonęła, a kośćmi wiatr szastał po świecie! — mruczałem przez zęby, uciekając od ich życzliwego koleżeństwa do umywalni. Może tu, mój Boże, ześlesz na mnie naschnienie i spłodzę, com powinien.

Umywalnia wydała mi się zaciszna jak pustelnia. Z kranów kropelkami skapywała melodyjna woda prosto na blaszane miednice, dzwoniąc radośnie. W





niewygodnej pozycji, z podwiniętymi nogami przycupnąłem przy taborecie obok pieca i teraz, muzo, szepcz! — uszy mam czyste, wczoraj przecież zapowiedziano inspekcję pana pułkownika.

Ale muza, jak kobieta: kiedy chcę, to ona nie. Sympatyczne na początku śpiewające kropelki monotonnym klapaniem doprowadzały już do pasji. Nie! w tych warunkach nie można pisać.

Mówią, że potrzeba nie jest matką wynalazków. Kłamstwo! Rozumując logicznie: musi być spokój, spokoju niema, dlaczego? Bo krople wody, spadające monotonnie, przeszkadzają. Gdyby nie monotonnie, to co innego, a tak przeszkadzają. Można jednak temu zapobiec, usuwając wodę — proste! Wyciągnąłem więc wszystkie krany — i tak zastał mnie któryś z „kolegów wojskowych".

— Co robisz? — zapytał bez zbytniego zdziwienia, ochlapując brudne ręce z lubością.

— Widzisz.

— Widzę — zgodził się ulegle.

Niestety, służbowemu, który w tym momencie zajrzał do umywalni, to nie wystarczyło i dodał jeszcze, że wieczorem będę nosił wodę, 18 wiader. Sam jeden. Jak on to obliczył, że akurat 18, a nie przypuśćmy 26, nie wiem. Widocznie lubi tę cyfrę. A po tym odszedł, bo co miał robić w umywalni. Czy on pisze wesoły felieton? — nie!

Na kolację nie poszedłem — napisałem dalsze dwa zdania, niszcząc ostatnie 3 kartki papieru i obecnie nie mam na czym napisać listu do ukochanej. Myśli zapewne, że ją zdradzam. Niech myśli.

Od godziny 20-ej do capstrzyku nosiłem wodę. Nawet nie miałem zamiaru tłumaczyć się z poprzedniego czynu — i tak nikt nie zrozumie mojej tragedii. A felietonu nie napisałem, bo melduję posłusznie, panie kapitanie, że nic wesołego nie umiem napisać, by można pękać ze śmiechu i boki zrywać. To zaś, co przeczytałem na akademii, to tak sobie, na marginesie całej sprawy. Nie śmiał się nikt, to prawda, ale nie moja w tym wina, a klaki, którą sobie zamówiłem, lecz nie działała. Winna tzw. niesprawność grupy przyjaciół.

Podch. Henryk Chuzik



„BE-ZET"



łapano nas „za frak" — jak mówi p. plut. Bednarski — i dano nam do zrozumienia, że błoga idylla rekruckiego dziecięctwa należy już do bezpowrotnej przeszłości. Najcharakterystyczniejszym znakiem tej przemiany jest — „bezet".

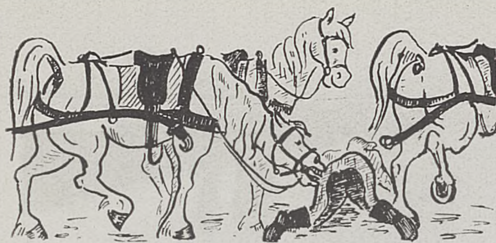
„B. Z." wcale nie znaczy — „bicie w zadek", jak sobie to wielu tłumaczyło, ale faktycznie chwilami usprawiedliwia to mylne mniemanie. Na „B. Z." składają się następujące czynniki:

1) ubieranie koni. — Latasz człowieku z ciężkim splotem rzemieni (uprząż artyleryjska szorowa) na plecach, szukając swego „podręcznego"; rzucasz się na jakąś szkapę, która z profilu całkiem jest do poszukiwanej podobna, zarzucasz jej forsownie natylnik na łeb i nie możesz zrozumieć, dlaczego p. plutonowy wymyśla ci od „leśnych dziadków". W podnieceniu chwytasz kolejno za upinacz, podbrzusznik, szelki nośne — kombinujesz, spinasz to wszystko na wszelkie sposoby, szamoczesz się, klniesz. Koń też szamoce się, chociaż nie klnie. Wreszcie, gdyś pojął swój błąd i zaczynasz mozolnie wszystko od nowa, okazuje się, że to wcale nie twój „podręczny", bo konie przestawiono i stoją w nie swoich miejscach, a zresztą powinieneś znać konia na oko. Bliski szału, zwijasz się, jak szatan, snując w głowie projekty najpotworniejszych tortur dla wynalazców francuskiej uprzęży. Brudny, poniewierany, mokry jak mysz, obracasz konia — tym razem już swojego — łbem do korytarza, nie podejrzewając nawet, że ten ostatni z całym spokojem wypluł wędzidło, które obecnie ruchem wahadłowym dynda mu się pod brodą;



2) zaprzęganie. — Oczywiście koń podręczny, a nie siodłowy wpycha się pierwszy do bramy, wskutek czego następuje kilkuminutowe zakorkowanie. Potem musisz doganiać... Ty chcesz, ale konie ani rusz, bojkotują cały interes i koniec. Gdy wreszcie decydują się ruszyć kłusem, w parku jest już tłok i rwetes, a ty w żaden sposób nie możesz przedostać się do swego działonu. Udało ci się wreszcie; — zaprzęgasz. Jak wąż przewijasz się w gąszczu końskich kończyn w poszukiwaniu haków doprzęgowych. Nie czujesz nawet, że siodłowy środkowy nadepnął ci na głowę, a podręczny dyszlowy skonsumował solidną porcję twoich karawaszy. Starasz



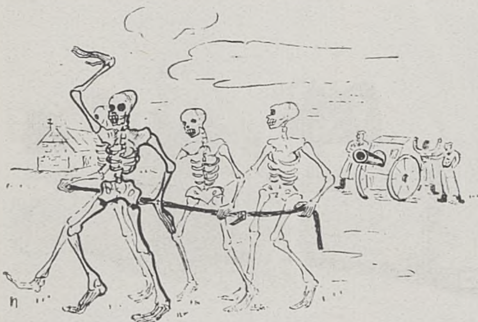


się być przemyślny jak Salomon, uwiązałeś nawet powód do siodła. Pełen dumy siadasz „na koń" i w tym samym momencie dowiadujesz się, że jesteś ostatnią „łajzą"..!(?) — Zapomniałeś podnieść podpórkę;

3) jazda zaprzęgami. — Wszystkie konie pokolei przestępują postronki; na zakręcie twój zaprząg zawadza o wiechę. Gubisz bat.

4) „O. P. R." pana parucznika, zaczynające się od sakramentalnych słów: „zdaje mi się, że ja mówię do ludzi..." Dalszy ciąg niestety nie nadaje się do uwiecznienia. Dość, że czujesz się po takiej przemowie, jak zbrodzień, jak plugawa glista, niegodna żywota. Tym większe jest twoje zdumienie, gdy potem w baterii dowiadujesz się, że wszystko poszło całkiem dobrze.

5) Szkieletówka czyli *„Taniec szkieletów"*. Wydaje ci się, że jesteś alpinistą, bo wraz z kilku towarzyszami niedoli trzymasz się długiej liny, spiętej z pasów, a twój kolega — udając władzę,



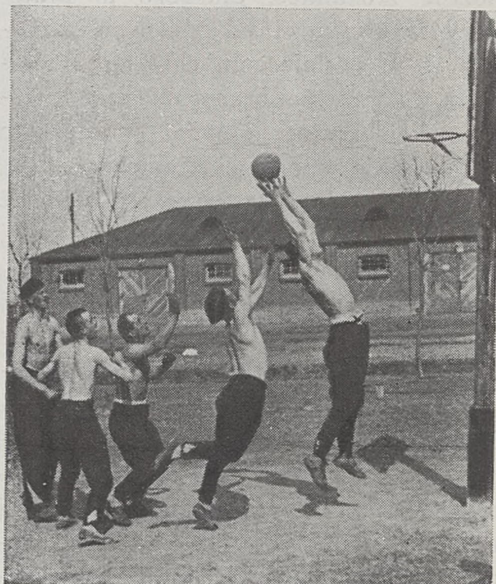
— drepce obok, wykonując kokieteryjne ruchy rękami, ku uciesze innych baterii ćwiczących działoczyny.

W sumie „B. Z." oznacza baterię zaprzężoną.

Uwaga. Nie zrażaj się czytelniku z następnych pokoleń. To wszystko nie jest takie znowu czarne, jak sądzisz. Sam tylko początek jest nieco ciężki, ale przyzwyczaisz się, tak jak my przyzwyczailiśmy się z czasem i tak jak my, polubisz kiedyś „B. Z.".

A gdy bateria ruszy galopem i świeży śnieg chmurami mlecznego pyłu wytryśnie z pod kopyt, tak że cała kolumna wyglądać będzie jak w obłoku, wtedy przyznasz mi napewno, że „B. Z." to piękna rzecz. Chyba, że będziesz siedział na przodku, cierpiąc na żołądek. W takim wypadku nie będę się tobie dziwił — znam ten ból.

Podch. Jan Szczepański
rysunki autora



BELKOWA GORĄCZKA

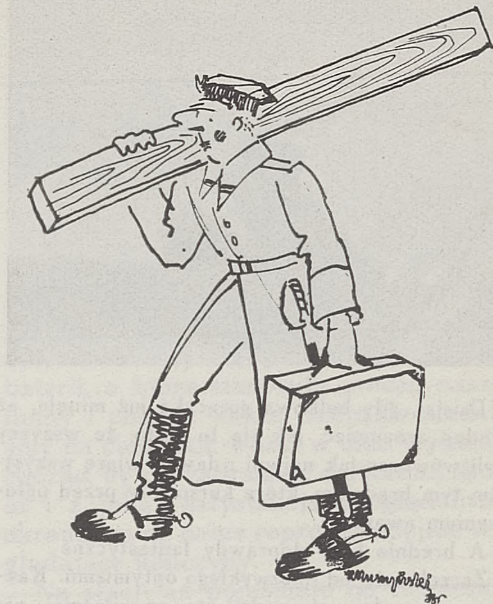
Oczywiście każdy twierdzi, że mu „nie zależy" i że „gwiżdże sobie na belkę" ale mimo to, a może właśnie dlatego ostatnie dni przed urlopem upłynęły pod znakiem ustawicznego snucia hipotez i przypuszczeń na temat bombardierskich awansów i lokat.

Wytworzył się nastrój podniecenia oraz jakiejś poufałej serdeczności, która dotąd nie zawsze cechowała nasze koleżeńskie życie.

Ostatni tydzień przed urlopem był tygodniem zwierzeń. Zwierzano się sobie wszędzie i przy każdej okazji, a tematem był oczywiście niedaleki awans. W większości wypadków poufne te rozmowy zbliżone były mniej więcej do takiego schematu:

„Wiesz, Staszek, mnie absolutnie nie zależy na belce — co mi tam! — Tylko kłopot z szyciem. Co się tak powątpiewająco uśmiechasz?





— „jeden kit"; zresztą nawet nie zasłużyłem zbytnio — pamiętasz, jak raz zawaliłem instrukcję? — Ale wiesz, jakby Kazik miał dostać bombardiera, a ja nie, toby mnie chyba krew zalała. Ty wiesz, że ja Kaźkowi dobrze życzę, ale to głupio, jak do jednego miasta przyjeżdża jeden facet z belką, a drugi bez.

Zresztą wszystko jedno, grunt że urlop!"

Po takim wykrzykniku, który zwykle kończył tego rodzaju wywody, bystry obserwator przysłuchujący się z boku mógł mieć stuprocentową pewność, że ów wyniosły młody człowiek, któremu „absolutnie nie zależy", dałby w tej chwili nawet generalskie szlify przyszłości za małą błyszczącą tasiemkę zdobiącą naramienniki.

Przypuszczam, że każdy kto przeszedł wojsko, bez zbytniego entuzjazmu wyraża się o czyszczeniu butów. W tym jednak dziwnym przedświątecznym okresie owa osławiona czynność nabrała pewnego szczególnego znaczenia, jeżeli nawet nie uroku.

Mianowicie, przy czyszczeniu butów, w przerwach między tradycyjnymi śpiewami następowała wymiana najnowszych, a zawsze sensacyjnych wiadomości.

Każdy wiedział lepiej niż inni, każdy miał jakieś informacje, których „nie można wyjawiać" i każdy oczywiście wiedział „z pewnego źródła".



Dzisiaj, gdy belkowa gorączka już minęła, aż trudno zrozumieć, jak się to stało, że wszyscy byli wówczas tak naiwni i dawali wiarę wszystkim tym bredniom, które kursowały przed ogłoszeniem awansów.

A brednie były doprawdy fantastyczne.

Zaczęło się od niezwykłego optymizmu. Każdy wprawdzie twierdził, że on właśnie „nie dostanie", ale wewnętrznie święcie był przekonany, że cała bateria co najmniej otrzyma belki...

Wiadomo jednak, że ściany mają uszy, to też coś niecoś z kancelaryjnych tajemnic przenikać zaczęło do wiadomości szarego tłumu i atmosfera dobrej nadziei poczęła słabnąć. Teraz dopiero wytworzył się dogodny klimat dla powstawania plotek. — Gadano rozmaicie. Ktoś z uporem twierdził, że bombardierów dostaną ci tylko, którzy zapłacili ostatnią ratę za zamówione bateryjnie rękawiczki, ktoś inny wiedział, że dostanie tylko jeden, ale kto, to oczywiście tajemnica.

Bardzo popularną była pogłoska, że ci, którzy nie wychodzili na miasto są „murowani", co oczywiście stawiało w pierwszym rzędzie faworytów, zatwardziałych koszarniakowców.

Na ogół każdy skłonny był widzieć belkę na ramieniu bliźniego, byle tylko nie na swoim.

Szczytem jednak sensacji była wiadomość, że na urlop pojadą... tylko parzyste działony.

Na szczęście życie wojskowe nie sprzyja zbyt długiemu utrzymywaniu się wszelkich pasji, to też i „belkomania" przestała po pewnym czasie roznamiętniać wszystkie umysły i w baterii uciszyło się nieco. Tu i owdzie zakładano się jeszcze, że ten dostanie a ów nie, skarżono się sobie i pocieszano się nawzajem, ale bezpośrednia bliskość urlopów zwróciła myśli wszystkich w innym kierunku.

Buty, mundury, ostrogi i żabki usunęły w kąt nieszczęsną sprawę belek. Poza tym z kancelarii przesiąkać zaczęły wiadomości coraz bardziej konkretne i każdy już mniej więcej wiedział, co go czeka. Nie było o czym gadać.

Wreszcie nadszedł ów mityczny dzień zapłaty. Dwuszereg na korytarzu stał cichy i równy, jak nigdy, lśniąc z dala elegancją własnych butów i ostróg. Czytane równym głosem, padały nazwiska, a ich dźwięk wywoływał na skupionych twarzach nieznaczne uśmiechy, lub oblekał te twarze w wyraz sztucznej nieco obojętności. Cisza była zupełna, ale pod powłoką spokoju czuć było całe napięcie wielu nadziei i pragnień. Skończyło się. Wszystkie głowy poruszyły się z ulgą. Oczywiście wyrażano sobie gratulacje lub współczucie. Niektóre oczy z uporem starały się uniknąć wzroku kolegów. Skąpy był plon tegoroczny. Rozkaz „baczność" przywrócił ład i ciszę.

Czytano ostatni rozkaz. Długa litania służb z nieznośnymi funkcjami sprzątających na końcu. „Salę wykładową sprząta bombardier X i bombardier Y". Kilkadziesiąt kanonierskich piersi westchnęło z głęboką ulgą. Nic się nie zmieniło, tylko ten pasek na ramieniu... no trudno.

Jot-es

NA PRZESZK



ŹLE!

Własne buty

Pierwszego wyjazdu na urlop nie zapomnę chyba nigdy. Wiadomo — takich chwil niezapomina się przeważnie ale dla mnie dominującym smakiem tego wspomnienia nie będzie jego strona, że tak powiem „sentymentalna" — o bynajmniej! Jeszcze teraz, gdy pomyślę o tamtych chwilach, czuję niemiły ucisk w palcach stóp i nieznośne uczucie piłowania w okolicy kostek.

Elegancja! — Tak jest, proszę państwa, byłem przez pierwsze 24 godziny mej wolności istnym męczennikiem elegancji wojskowej i to jednym z bardzo wielu. Przecierpiałem nawet stosunkowo mało w porównaniu z mymi towarzyszami niedoli, a zawdzięczam to przypadkowo memu wrodzonemu lenistwu. Chodzi oczywiście o przesławne „własne buty", te wspaniałe buty od Gidzińskiego, Mazeli, Łukasiewicza — buty, których zgrabnością i połyskiem przeli-



cytowywaliśmy się przed wyjazdem w baterii, a które stanowiły powód naszej dumy i chluby. Jakże ostrożnie siadaliśmy na chłopskie wózki w dniu wyjazdu, bacząc, by nie zadrasnąć delikatnej skórki i z jakąż satysfakcją spoglądaliśmy ukradkiem na nasze reprezentacyjnie wyglądające kończyny.

Na stacji aż pojaśniało od niebieskawych „blicków" na noskach i od junackich lśnień rozdzwonionych ostróg.

A potem zaczęła się jazda. Długa i nudna... nudniejsza z każdą godziną. Do Lwowa póki byliśmy jeszcze wszyscy razem, było dosyć wesoło. Gadało się o urlopie, o mundurach, o butach...

— Całe szczęście, że ja mam wygodne — powiedział ktoś w czasie rozmowy — te eleganciki z wysokimi szklankami będą miały zapaskudzone święta. Wszyscy oczywiście mieliśmy też wygodne buty, ba! — nawet nieco za duże.

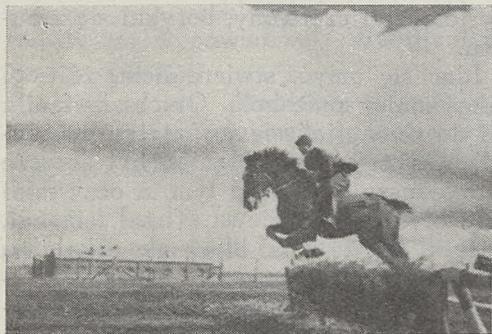
We Lwowie rozjeżdżaliśmy się w stu różnych kierunkach. Ten i ów kusztykał dosyć niedołężnie po peronie, ale tylko dlatego, że „nierozchodził się jeszcze", bo buty były przecież „tip-top".

Druga część podróży rozpoczęła się pod znakiem senności i znużenia. W dusznych, napchanych przedziałach kiwaliśmy smętnie nasze wyelegantowane torsy, a cel podróży wydawał się oddalony w jakieś nieosiągalne przestrzenie. I teraz właśnie zaczęła się ponura epopea elegancji.

Po pierwszej godzinie jazdy Maniek zapytał mnie z niepewną miną:

— Janek, czy ciebie buty wcale nie gniotą?

ODĘ-MARSZ!



DOBRZE!

— Nic, a nic — odparłem skwapliwie, starając się opanować skurcz bólu na twarzy.

Stop. Zasadniczo nie powinienem pisać o dalszym rozwoju wypadków, ale mam nadzieję, że mi Maniuś wybaczysz kronikarską niedyskrecję.

Ostatecznie wszystko już minęło, a temat korci mnie paskudnie.

Otóż po tej pierwszej enuncjacji Mańka zacząłem czuć się nieswojo. „Czy ja aby nie wpadłem z tym Mazelą?" — myśl ta nie dawała mi spokoju. Maniek tymczasem wyraźnie tracił kontenans. Łaził początkowo po korytarzu, a potem usiadł z ponurą miną, utkwiwszy wzrok w swych wspaniałych szpicach.

— Wiesz, Janek — rzekł po pewnym czasie mnie te buty zaczynają paskudnie piec. Nie rozchodziły się jeszcze.

— Przyzwyczaisz się — rzekłem bez przekonania. Zmieniliśmy temat rozmowy, ale kwestia butów zaciążyła nad nami jak przekleństwo.

Te cudowne, te wygodne buty... eh, co tu dużo gadać! niech je krew zaleje! Nasi towarzysze podróży drzemali już na dobre, trzęsąc zabawnie bezwładnymi głowami. Ich wcale nie piekły stopy, nic nie zgniatało i nie uwierało im łydek. Czułem, że zwolna staję się mizantropem. Przez szybę widać było snujące się po korytarzu zbolałe postacie jeszcze kilku podchorążaków. Miny mieli zniechęcone i wrogie.

— Zdejmę buty — rzekł Maniek nagle stanowczym głosem. — Pomóż mi!

Zlazły bez zbytniego trudu. Maniek aż rozpromienił się z ulgi.



— Radzę ci, zrób to samo — czuję się jak nowonarodzony.

Nie chciało mi się. Propozycja wprawdzie przemawiała do przekonania, ale zawszeć ściąganie butów to żmudna historia, a zresztą twierdziłem przecież, że „nic a nic" mnie nie gniotą. — Niech tam! Siedziałem tedy dalej milczący i zgryźliwy, obserwując Mańka, jak z błogim uśmiechem na twarzy zapada w drzemkę.

Wyszedłem na korytarz. Przez szyby przedziałów widać było innych włodzimierzaków, siedzących bez butów z minami ludzi, którzy pozbyli się wreszcie ciężkiej troski. Zazdrościłem im. Moje łydki przybierały wyraźnie jakieś monstrualne rozmiary. „Elefantjazis łydek" — pomyślałem sentencjonalnie, ale ten dowcipuszek nie ubawił mnie ani trochę.

Na jakiejś stacji wsiadła władza — sierżant K. O. P.-u z rodziną. Poderwałem się sprężyście, a Maniek, który ocknął się w międzyczasie, też wyprężył się jak struna, wyglądając ze swymi bosymi nogami, jak abisyński generał. Władza uśmiechnęła się pod nosem — nabijała się z nas pewnie w swym piechocińskim duchu. Siedliśmy. Wtuliłem się w kąt, oparłszy głowę o płaszcz. Znużenie zmogło mnie wreszcie i zapadłem w sen, pełen marzeń o wygodnych, filcowych pantoflach. Gdym otwarł oczy, świt wkradał się już niepewnie przez okno, napełniając przedział uczuciem przybliżania się do celu. Maniek rozespany jeszcze i czerwony, borykał się z butem.

Idąc się umyć, stwierdziłem, że nogi jakoś mniej mnie bolą. Otucha wstąpiła mi do serca (jak się to patetycznie mówi). Gdym wrócił, Maniek był jeszcze czerwieńszy niż przed tym, a oczy miotały błyskawice gniewu. Tupał, ciągnął, natężał się, że omal bluza nie pękała na nim, ale efekt był mizerny. Sierżant i jakiś cywil udzielali mu rad i z zainteresowaniem śledzili przebieg walki.

— Tup mocno Maniek, z całej siły — poradziłem ze swej strony.

Zamknąwszy oczy, zaczął biedak łomotać piętą w podłogę z taką furią, że aż nieletnia latorośl sierżanta zapłakała z przerażenia.

Wynieśliśmy się z przedziału. Na korytarzu sytuacja nie poprawiła się w niczym. Maniek jęczał z bólu.

— Nogę poharatam, a wbiję ten przeklęty bucior — syczał przez zaciśnięte wargi.

Patrzałem bezradnie, nie wiedząc, co począć.

— Może lepiej ściągnąć go — zaproponowałem niepewnie.

— Szarp! — syknął Maniek przez zęby. Złapałem więc za obcas i szarpnąłem co sił w rękach.

— Boli, psiakrew! — jęknął, twarz jego miała wyraz iście męczeński. Szarpnąłem drugi, trzeci raz. Do akcji przyłączył się i sierżant.

Rwaliśmy nieszczęśliwego Mańka, jak na torturach — władza od głowy, ja od nóg, ale wszystko na darmo. But zawziął się: „ani wewtę, ani wewtę". Maniek jęczał, syczał, zaciskał zęby, żal było patrzeć na niego. W pewnej chwili wahadłowe drzwi korytarza rozwarły się z trzaskiem i wprost pod nasze stopy runął na plecy jakiś spocony, zziajany bombardier. Wstając spojrzał na nas rozanielonym, szczęśliwym wzrokiem — uwolnił się od katuszy — jego kolega równie zmachany, dzierżył z triumfem ściągnięty z towarzysza but.

Wzdłuż całego korytarza rozgrywały się dantejskie sceny. Tupano, wciągano, zciągano — przekleństwa i jęki krzyżowały się w powietrzu. Wpadłem na świetny pomysł:

— Wiesz co, Maniek? — rzekłem. — Daj na razie lewemu spokój i włóż prawy. Tymczasem noga odpocznie ci trochę.

Jeżeli kiedyś na sądzie ostatecznym policzone nam będą i złe rady, to ja chociażby za tę jedną powinienem zgorzeć w ogniu piekielnym. Z prawym butem powtórzyła się jota w jotę ta sama heca, co i z lewym. Maniek był obecnie kompletnie unieruchomiony i u szczytu rozpaczy. Patrzyliśmy na siebie z przerażeniem i bezsilną wściekłością. „Inwalidą chłopak wróci" pomyślałem i ciarki przeszły mnie po grzbiecie. „Ładnie będę wyglądał!"

Maniek kusztykając na palcach i jęcząc, wtoczył się do przedziału. Jeszcze nie cały kwadrans dzielił nas od kresu podróży. Zdenerwowany, zmachany, rozbity stanąłem w oknie. I nagle stała się ze mną rzecz dziwna. Poczułem, jak fala niedorzecznego, złego śmiechu wzbiera mi w piersi, podchodzi do gardła. Wychyliłem się daleko i w świst powietrza, w pył mknący z komina lokomotywy, ryknąłem na całe gardło. Trzęsłem się, skręcałem się z niepohamowanego dzikiego śmiechu. Dobrze, że nie ja — ha! ha! ha! — nie trzeba było butów zdejmować — ha! ha! — aż krztusiłem się z łajdackiej uciechy. Uspokoiłem się przed samą stacją. Z powagą i współczuciem pomagałem Mańkowi wysiadać; rozstaliśmy się milcząco.

Pod koniec urlopu dowiedziałem się dopiero przypadkiem, że nóż rozstrzygnął kwestię mańkowych butów, epilog ten jednak nie zrobił już na mnie wrażenia.

Podch. Jan Szczepański

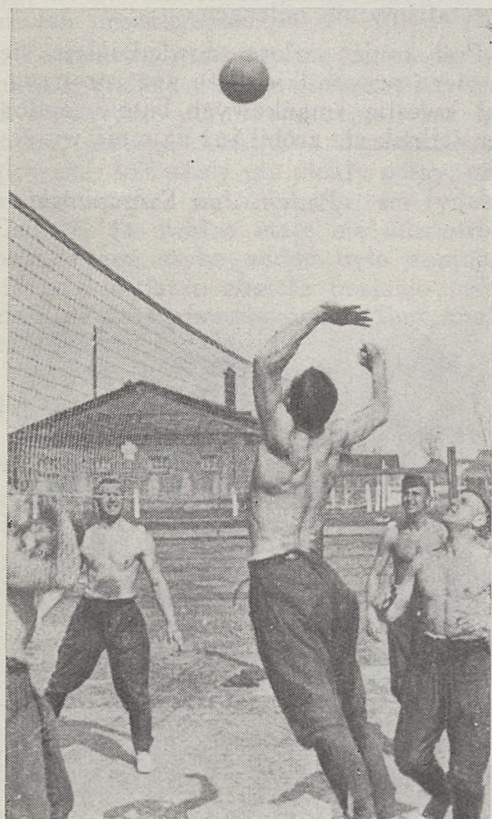


A L A R M



larm dzieli się zasadniczo na przygotowanie i alarm właściwy. Pierwsze trwa — zależnie od wyczucia — dwa do sześciu dni, drugie — 15 minut. Dziwne, ale prawdziwe.

Źle się dziać zaczęło w państwie duńskim. Od czterech dni każda, najmniejsza nawet przerwa przechodziła pod znakiem zbiórki ze stroczonym plecakiem. Bielizna „duxus", drelichy, szczotki, szczoteczki, przybory do szycia, buty wyjściowe i dwa złożone koce — wszystko to musiało być wielokrotnie pakowane i rozkładane. Najbardziej nawet naiwna, bateryjna sierotka, która wierzyła, że w następną niedzielę to już może... może wyjdzie na miasto, czuła, iż coś się święci. I to coś niedobrego.



Rzeczywiście, któregoś dnia po nowej serii nauki doskonałego wykorzystania tornistra, połączonej z osobistym sprawdzaniem kierunku wiatru przy zachodnim trygonometrze, szef powiedział:

— W wojsku nic się na darmo nie robi.

Cisza się wielka uczyniła, a nasz król, rzuciwszy władcze spojrzenie na pobladłe twarze, dodał:

— Możliwe, że niedługo będzie alarm...

Wrażliwi osunęli się na posadzkę, obficie tego dnia płynem antikurzowym polaną. Alarm. „Coś" odkryło swoje oblicze.

Stanowczo nie dobrze się dzieje. Koledzy, dotychczas mili i beztroscy, zbierają się po kątach, palarniach i radzą. Zaciekle i z zacietrzewieniem.

— Jutro! Mówię ci, że jutro! Osiem ciastek stawiam!

— Dureń jesteś! Jutro być nie może, bo szef ma służbę... A bez szefa alarmu nie będzie. — Spoglądają na siebie, bo naprawdę jakżeż bez szefa?

— Zresztą, skąd wiesz!

— Cóż mam z wami mówić! — cedzi przez zęby obrażony — moje wiadomości są z bardzo pewnego źródła. — Nachylił się i cicho, w skupieniu zaczyna wyjaśniać. — Wiecie, ta Walentynowa, która pierze bieliznę... Tak, ta czarna... Otóż

ona sprzątała... No, zgadnijcie u kogo?... E, niemądrzy! — u wodza, tak! — i triumfująco z politowaniem patrzy. Trudno coś rzecz. Informacja zda się pewna.

W międzyczasie inna partia spiskowców, urzędująca w kochanym „Wacku", na podstawie rozpoznania, przeprowadzonego w kuchni, orzekła, że alarm będzie dziś w nocy. Bo przecież kucharz wszystko wie najlepiej.

Wszyscy podzielili się na dwa wrogie obozy: jedni trzymali stronę praczki, zaklinając na wszystkie końskie bogi, że oni i tylko oni mają rację; drugi obóz — zwolennik kuchni, uśmiechał się z pobłażaniem, od czasu do czasu rzucająąc w przeciwnika słowa dobitnie cznaczające bezdeń głupoty i idiotyzmu.

Natychmiast po kolacji zaczęło się pakowanie. Szło wszystko dobrze, dopiero przy kocach powstała namiętna dyskusja: zrolować czy złożyć? — oto pytanie, przy roztrząsaniu którego dwaj przyjaciele, z jednego brudnego kubka pijący, na przodków szprychy przysięgli nienawiść i zemstę straszliwą.

Indywidualiści troczyli obydwa koce, lecz przekonani o późniejszym terminie alarmu, zaczęli odczuwać niepokój. Bo jeśli będzie?... — Gorliwi, którym nawet niedwuznaczne rady na szafkach nie pomogły, pierwsi zdradliwie opuścili szeregi malkotentów. Po chwili już pracowaliśmy skrzętnie i cierpliwie.

Wreszcie modlitwa — capstrzyk. Indywidualiści tulili swe nagie cielska do obszernych pół płaszcza artyleryjskiego, lecz sądząc po szczękaniu zębami — bezskutecznie. Coraz to na innym działonie zmarznięte dusze przewracały z hałasem szafki w poszukiwaniu za swetrami, spodniami i płaszczami wyjściowymi. Był i taki, który spał w komplecie jägierowskim, na wszelki wypadek przez troskliwą mamę przysłanym.

Najlżejszy szelest budził, każdy szmer drażnił.

I wyobraźcie sobie... nic! Tej nocy alarmu nie było. Koce naturalnie trzeba było rozpakować. Kucharz zawiódł na całej linii.

Następna noc — jeszcze gorętsze oczekiwania... i pozycja praczki została poważnie zachwiana.

Po tym dwa dni przeszły w podnieceniu. Pomału zaczęły wracać drelichy, wszyscy spali pod dwoma kocami.

I właśnie wtedy, o czwartej nad ranem służbowy wleciał na salę, ogromnym głosem rycząc: alaaaaarm!!

Myślę, że pogmatwanie języków podczas budowy wieży Babel mniejsze skutki wywołało, niż to jedno słowo. Widziało się starych już przecie żołnierzy, stojących w bieliźnie, z karabinkiem na pasie, daremnie usiłujących włożyć spodnie przez głowę. Dziesiątki latały po wszystkich kątach, szukając takiego, który by koc im złożyć pomógł lub plecak zaczepił. Niejeden już kompletnie ubrany spostrzegał nagle z przerażeniem, że maska przez prawe zamiast przez lewe ramię przechodzi (byliśmy wtedy jeszcze piechotą). Musiał cały rynsztunek zdejmować, aby tę drobną zda się rzecz poprawić. Wreszcie zbiórka na korytarzu i przegląd.

Wynik: dwanaście karnych raportów, wieczyste sprzątanie sal wykładowych, 680 wiader wody — alez się Huzar *) ucieszył.

Nie wierzcie praczkom i kucharzom. Chociaż...?

Podch. Stanisław Mołoniewicz

---

*) Nazwisko sprzątającego luzaka.

Z pamiętnika Jureczka

21 GRUDZIEŃ.

Dzisiaj przyjeżdża. To będzie heca, jak się pokaże z ogolonym łbem. Mamusia mi obiecała 50 groszy, jeśli mu nie będę dokuczał. Ale ja zobaczę, co będzie lepsze. To przecież bardzo śmieszne mieć łysego brata.

22 GRUDZIEŃ.

Przyjechał wczoraj w nocy. Śniła mi się moja Irka z 3-ej b i akurat diabli nadali — ktoś wali do drzwi. Odrazu się zbudziłem i myślę, co to za świnia takie sny przyjemne przerywa. Naturalnie był to Mietek.

Mamusia wyskoczyła z łóżka i zaczęła płakać z radości. (Nigdy jeszcze z radości nie płakałem). Potem mówiła, że się bardzo cieszy i tak wokoło. Coś tam jeszcze i tatuś się pytał, ale zasnąłem, więc nie wiem.

Noc była (godz. 6-ta), gdy się krzyk i hałas jakiś rozległ. A to właśnie Mietek latał jak kot z pęcherzem po mieszkaniu i krzyczał: „4 działon — przygotowanie do umywalni!". Potem było słychać parę słów, za które dwa tygodnie temu ojciec dał mi w skórę. To Mietek wdziewał buty — i znów: „4 działon — zbiórka do umywalni!„. Kolejno odlicz — raz... — w prawo zwrot, do umywalni biegiem marsz!" — i poleciał do łazienki.

Zawsze miałem cichą pretensję do rodziców, że nie jestem pierworodnym i jedynym, ale dzisiejszego dnia to już szlag mnie trafiał. Mietek, mokry jeszcze, przyleciał do mego pokoju i krzyczy: „wyście są jeszcze w łóżku...? 20 wiader...! Wstawać, do ciężkiego licha!"

Pomimo mej rozpaczliwej obrony ściągnął mi kołdrę. Drżąc z zimna, wołałem: „zgiń, maro, przepadnij!" wtedy wylał na mnie kubek zimnej wody. Te 50 groszy to już odżałuję!

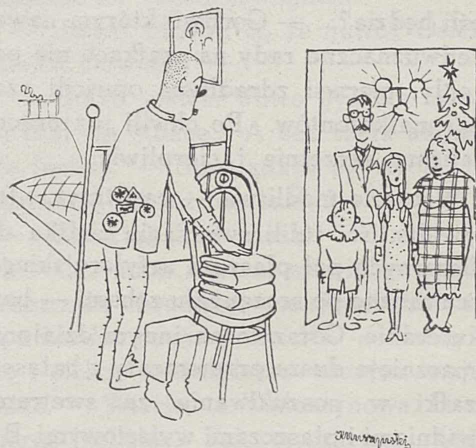
Gdy się ubierałem, Mietek tłumaczył Marysi (nasza nowa służąca), że o ścieleniu łóżek zielonego pojęcia niema i że niech idzie do wojska, to się nauczy. Zaglądam przez drzwi, a tam Mietek pokazuje, że kołdrę zawija się w dwie fałdy, które się okłada prześcieradłem. Tylko zagłówek (pierwszy raz słyszę!) był mu za miękki. Widziałem, że Marysia ma bardzo głupią minę i udaje, że wszystko zrozumiała. Potem zasłała łóżko, jak zwykle.

Przy śniadaniu — dopiero gdy krzyknął „6-ta siad!" — pozwolił mi usiąść. Wyznaczył mnie na starszego stołu i kazał składać talerze, chociaż Marysia mogła to dobrze sama uczynić. Ale on powiedział, że mogę się żalić, lecz po wykonaniu rozkazu.

Jadł tyle, że aż mi się w oczach kręciło i skarżył się, że jakoś apetytu niema. Gdy już zjedliśmy (właściwie on zjadł wszystko), co było, okazało się, że jest godzina 7-ma. Wtedy Mietek powiedział: „raportu działonamy robił nie bede. Bezpośrednio obejrze, czyście są czyste".

Popatrzył na mnie zgóry na dół i orzekł, że jestem goły i na pewno się przeziębię. Mundurek nie był zapięty pod szyją.

Potem ustawił cztery krzesła i ćwiczył ze mną jakieś „działoczyny". Tak krzyczał: „obsługa — na wozy!" Wtedy ja miałem skoczyć z jednoczesnym obrotem na krzesło. Bardzo to mi się podobało, ale mamusi mniej, bo właśnie krzesło (bardzo wartościowe) złamało się. Mietek później tłumaczył że wyszkolenie młodzieży bardzo drogo kosztuje.



Poszedłem na lód, gdy Mietek zapewniał tatusia, że własny mundur jest dla dobrego żołnierza konieczny ze względu na mniejsze zużycie rzeczy skarbowych. Do końca dnia nic specjalnego nie zaszło, tylko Mietek podczas wykonywania „od ucha-tnij!" odłupał kawał drzewa z mamusinej tualety ze srebrnej brzozy.

23 GRUDZIEŃ.

O godz. 6-tej Mietek ryknął: „pobudka — pobudka — wstawać!". Ale nie wstał. Mówił, że ostatecznie jest na urlopie, więc może dłużej poleżeć. Słyszałem, jak zapalał papierosa i śpiewał o dziewczynie, co zgubiła białe róże i coś tam jeszcze. W końcu przylazł do mnie w tak krótkiej koszuli, że Marysia, która akurat brała rzeczy do czyszczenia, okrutnie się zarumieniła. Pytam się, dlaczego nosi taką koszulinkę, a on na to, że się skurczyła ze wstydu. Pytałem później Marysi, czy się nie skurczyła, ale ona się zaśmiała i powiedziała, że jej takie rzeczy nie szkodzą. Potem opowiadał o jeździe konnej. Najwięcej podobały mi się powiedzonka o sposobie siedzenia na koniu i trzymania wodzów. Dopiero, jak mnie zaczął zapewniać po holendersku, że jestem piękny, to się obraziłem. Ale on się tym nie przejął i tłumaczył mi dalej, że jak ktoś tłucze dwie godziny zadkiem po siodle wzór 25, to nic dziwnego, że go obetrze (zadek — nie siodło).

Idzie więc do lekarza i mówi: „panie kapitanie, melduję posłusznie, że..."

— „Pokazać!"

Na to Mietek zdejmuje spodnie i pokazuje, a kapitan, że ma stanąć w rozkroku. Mietek rozkracza się, a tu sanitariusz — pac! — pędzlem z jodyną po obtarciu. Mietek mówił, że już więcej do lekarza nie chodził.



Dzisiaj jest Wilia i ubieramy choinkę. Mietek pokazywał mi, jak się kryje pod drzewo i przy tej okazji zbiło się 7 bomb dużych i 2 ptaszki. Ale się tym nie przejął i powiedział, że nie takie bomby się przy nim rozrywały. I nos zadarł do góry. Pewnie, że mu to łatwo robić, jak od urodzenia miał zadarty.

Potem opowiadał o jednym plutonowym, co się w młodości samolotu przestraszył i teraz gdzie się obejrzy, to widzi lotnika.

Przy Wilii zjadł 38 pierogów i 2 duże karpie. Karafkę z wiśniakiem to już z tatusiem osuszyli. Na końcu śpiewał kolendy bardzo grubym głosem i poszedł się przewietrzyć. Wrócił o 5-ej nad ranem, zbudził mnie i kazał ściągać buty. Kostkę złożył, ale spał z szablą, bo dobry żołnierz zawsze śpi z bronią.

26 GRUDZIEŃ.

Były święta, więc nie miałem czasu pisać. Przyjechała Jadzia, nasza kuzynka. Naturalnie Mietek ciągle przy niej siedział i mówił, żeby nie myślała o tym cywilu, którego fotografię nosi przy sobie, bo cywil to wogóle nic, a artyleria grunt. Kilka słów podsłuchałem. Tak mówił: „Jadziu, odryglij kołyskę swych uczuć; pozwól, abym kośbą 3 po 3 przeszedł pole 6 razy". Dalej nie wiem, bo krzyknął, że rzuci we mnie szablą, jak będę słuchał, co starsi mówią.

27 GRUDZIEŃ.

Godz. 9-ta rano, a Mietka niema. Mamusia chciała telefonować na policję, ale tatuś na to, że on w młodości tak samo się gubił, a później zawsze się odnalazł. Mama chwyciła się za serce i powiedziała: „aaa, tak! poczekaj!".

Tatuś bardzo był zmartwiony, że się wygadał, ale właśnie wszedł Mietek. Trochę mu się język plątał, gdy przepraszał mamusię. Mówił, że przeprowadzał rozpoznanie w bardzo ciężkich warunkach i że dużo było przeszkód terenowych. Potem położył się spać i gadał przez sen: „panie ogniomistrzu, już nie będę palił na działonie... sala nr. 1 sprzątnięta... tak jest!".

28 GRUDZIEŃ.

Dzisiaj mamusia wygoniła Mietka z łóżka. Zbiórki do umywalni nie robił i mył się w swetrze. Odrabiałem zadania z matematyki, które dostałem na święta, to przyszedł do mnie i zaczął mi pomagać. Widziałem, że się bardzo męczy, ale i tak nie mógł rozwiązać. Wreszcie powiedział, żebym się nie martwił, że nie wychodzi, bo to wszystko rozrzut wyrówna. Potem czyścił szablę szklistym papierem i poszedł z Jadzią na spacer.

1 STYCZEŃ.

Strasznie dobrze się bawiłem przez święta. Rodzice Irki poszli już o 10-ej w goście. Nie chcę tu pisać, cośmy robili, bo a nuż tatuś znajdzie mój pamiętnik i przeczyta. Ale bym dostał wały!

Muszę napisać, co było z Mietkiem. Odprowadzałem Basię Paszkiewiczównę i gdyśmy byli na Steckiewicza, nagle słyszymy piski jakieś i krzyki. Patrzę, a tu wesołe towarzystwo środkiem ulicy wali dryndami, a na koniach dorożkarskich siedzą naturalnie Mietek i jego koledzy. Mietek macha szablą i ryczy: „galopem — marsz!... zaprzęgami w tył na lewo — marsz...!" Zawrócili i zginęli za rogiem.

Całe szczęście, że ich żandarmeria nie nakryła. Mietek później mówił, że musiał ćwiczyć jazdę baterią zaprzężoną, bo wychodził już z wprawy.

Pod wieczór przyszedł do nas dorożkarz i twierdził, że Mietek jest mu winien 6 zł. Ojciec się krzywił, ale zapłacił.

Mietek zaczyna się już pakować. Szkoda, że jedzie tak wcześnie.

2 STYCZEŃ.

Dzisiaj o 1.30 Mietek wyjeżdża. Już od rana słyszę, jak konferuje z ojcem na temat pieniędzy. Mało — mówi — tatuś przysyła, bo są różne wydatki. I zaczął wyliczać. Potem, że niby nie chciał wspominać i robić przykrości, ale zgubił azymut i musi odkupić. Kosztuje 16.20.

Ojciec narzekał, że to takie drogie, a Mietek na to: „I tak dobrze, bo jakbym tworzącą lufy zgubił, to bym płacił przeszło 100 zł."

O 13-ej pojechaliśmy wszyscy na stację. Mama płakała ze zmartwienia. Mietek był niewyraźny.

Konduktor krzyknął „odjazd", a Mietek: „niech mama pamięta o paczkach!".

Pojechał. Wszyscy byli smutni, a najwięcej chyba tatuś, bo go ten azymut zmartwił.

Podch. Stanisław Mołoniewicz

UCZYMY SIĘ





Czarny dzień

— Pobudka, pobudka — wstać!

W gmatwaninie odrzucanych, ciepłych jeszcze koców zrodził się nowy dzień bombardiera z cenzusem. Nic nie wróżyło, aby miał być inny niż poprzednie, a jednak?..

Szukając po omacku bosemi nogami pantofli pod łóżkiem, włożyłem lewy na prawą nogę. Według Zbyszka — mego kolegi „przez głowę" — oznacza to odpowiadanie z instrukcji strzelania. Poczułem się mocno speszony, ale jeszcze wkładając długie białe z troczkami, zwane (mniejsza z tym) i pokrywając je rycerskimi karawaszami, humor miałem nienajgorszy, jako że był to ostatni dzień tygodnia. Złe zaczęło się dopiero przy wkładaniu butów, które zupełnie lekko wchodziły na bose nogi, natomiast na moją warstwę ubezpieczającą 3 par skarpetek — bardzo niechętnie.

Nasz działon był pierwszy do umywalni — więc sami rozumiecie: „żabką na dół i z powrotem!", — a podczas gimnastyki zostałem „wybrany" do zamiatania schodów. Bardzo lubię być wybieranym, bo jestem indywidualistą i stanie w szeregu razi moje zapatrywania, stąd też częste epitety, określające moją rolę w tym szyku dość dosadnie. Zwłaszcza przy „równaj w prawo".

— Przestańcie się tam kręcić jak w przeręblu... — przypuśćmy śliwka. Wprawdzie w zimie nie ma śliwek, przynajmniej w takiej ilości, aby je wrzucać do przerębla, ale każdy przecież wie, że to metafora.

To zamiatanie schodów przypomina trochę beczkę Danaid, bo też się wody zużywa w pokaźnej ilości, pucuje się bez wytchnienia, aczkolwiek nigdy nie są czyste.

— To jest czysto? To w arce Noego po potopie też było tak czysto, jak tam słonie spacerowały, a żydzięta bawiły się w kucanego berka... — i tu następuje dokładne określenie, co te słonie i żydzięta robiły poza tym.

WOLTYŻERKI







Czyszczenie koni.

— Zamiećcie to jeszcze raz!

Nie wiem po co tak dokładne określanie „jeszcze raz“ — przecież i tak nikt nie uwierzy, że chodzi naprawdę o jednorazowe zamiatanie. Wreszcie kiedy schody były naprawdę brudne od mego ciągłego chodzenia po nich z góry na dół, mogłem pójść na śniadanie. Potem już w najgorszym usposobieniu (bo kawa wydała mi się gorzka, a chleb o smaku trocin), stanąłem do apelu porannego, aby się dowiedzieć, że ten mój urwany guzik u rękawa, to pan szef widział już od tygodnia. Czemu więc mi po prostu nie powiedział? — I oprócz tego gdyby on (pan szef) wyglądał tak jak ja, toby się wstydził. Powiedziałem, że jabym to samo zrobił na jego miejscu, ale pan szef nie zrozumiał widać intencji mych słów i dyskusja została przerwana dosyć gwałtownie.

Po takim początku dnia nie zdziwiłem się zupełnie, gdy mnie „Dewotka“ kopnęła przy siodłaniu tak, że upadłem na kolana i powiedziałem tylko „przepraszam“ i gdy mnie „Despotka“ przy wyprowadzaniu ugryzła w karwasze.

Cóż? — sama jazda konna nie przyniosła mi nic nowego, znowu usłyszałem, że siedzę na koniu jak Kaifasz (dlaczego właśnie Kaifasz) czyli jak rotmistrz żydowski (teraz rozumiem), że kolana są po to, aby przylegały szczelnie do siodła i były osią ruchu wahadłowego korpusu przy anglezowaniu, no a łydka ma być aktywna, i wodze na łączności — zresztą o tym wszyscy wiedzą. I wogóle, rozumiecie „iskra Boża czyli szkoda do was gadać!“.

Gorzej było z woltyżerką.

— Cóż siedzicie na tym koniu jak małpa na płocie? Wyskoczył taki lump na siodło i bożka udaje, złaź że prędzej, bo jak cię trzepnę... Rybką z konia. A cóż tak wymachujecie tymi kilofami, tfu! To była rybka? — z powrotem na lonż!

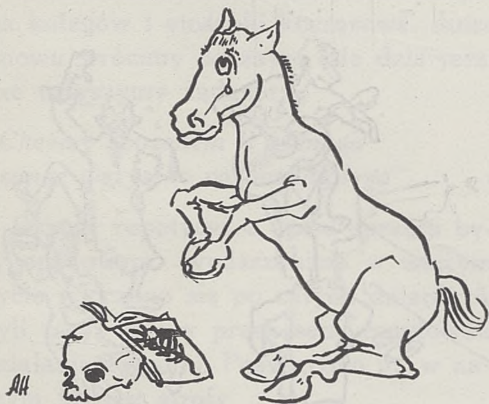
Po tej repetycji z woltyżerki zaśpie-



Rotmistrz żydowski.

wałem „A czyjeż to imię" i poszedłem do koszar na instrukcję strzelania. Była oczywiście strzelnica zmniejszona i wyrwany z błogiego sąsiedztwa kbk w stojakach, na których już zmęczoną głowę do snu skłaniałem, stanąłem oko w oko z gniazdem karabinów maszynowych na łączce pod lasem, które w bezczelny sposób zagrażały własnej piechocie, wobec czego należało je obezwładnić. Na obezwładnieniu się znam — trenowałem kiedyś dju - djitsu, więc z zapałem wziąłem się do dzieła, ergo do działa. Strzelałem na rozprysk i na udar, osiowo i bocznie, pokryłem strzałami całą przestrzeń od dozoru aż po cel, żywy człowiek nie mógł tam zostać, lecz gdy syt chwały niszczenia odjąłem lornetkę od oczu, zamiast pochwał usłyszałem sakramentalne „ja wam wstrzymuję wyjście do Wielkanocy!" — A ja właśnie dziś chciałem... nie, to zbyt okrutne!

Niestety wczesne popołudnie zastało mnie przy noszeniu bielizny, co jest przywilejem wszystkich członków sekcji wydawniczo - prasowej, a wieczór przy bateryjnym bridżu. Przepustki nie dostałem.



„Dewotka".
Z cyklu „Typy końskie".



Rybką z konia.

Ze skurczem serca odśpiewałem „Więc pocałuj na dobranoc mnie", starłem onucką brzeg szafki, sprytnie zakryłem walizką resztki śmieci pod łóżkiem i zasnąłem gorączkowym, złym snem.

Śniło mi się, że strzelam do gniazda karabinów maszynowych, które na kształt os uwijały się przede mną, działa pękały jedne po drugich od strzałów, które oddawałem bez przerwy, a karabinów ciągle przybywało, przybywało, wreszcie poczęły się do mnie zbliżać, osaczać mnie — zostało mi tylko jedno działo. Mieniło mi się przed oczami, gdy obliczałem „fi" i „omega", wreszcie usłyszałem z daleka głos kapitana: „wystrzał!" i zaobserwowałem: — prawo 80 krótki. — Karabiny osy pokryły mnie zupełnie i poczułem liczne ukłucia ich żądeł. Z krzykiem porwałem się z łóżka... przez szyby wpada słońce, obok mnie śpi spokojnie Zbyszek... tak, to jest niedziela, ten nieszczęsny dzień minął bezpowrotnie.

Podch. Tadeusz Jaszowski

TEATR PO CAPSTRZYKU



oże to nie po męsku, a w każdym razie nie po żołniersku, lecz trudno — skromny autor tych garści wspomnień musi uczynić przed łaskawymi czytelnikami wyznanie: że gdy na papier przelać chce owe radosne i ponure — jak się w on czas wydawało — chwile, trudno powstrzymać najmniejszą łezkę w oku. Czas — zwycięzca wszystkiego przeniósł na wieczny spoczynek historii „wcinanie w bok" na stolikach topograficznych, wypychanie w przód koni, odprzodkowanie w tył i pięty w dół.

Od chwili, gdy zniknęły podziały według D. O. K. a powstał nowy, wprost egzotyczny podział koszarowy, minęło wiele wspaniałych wzlotów i upadków, wiele (jeśli już użyć patetycznego wyrazu) sukcesów i klęsk. Wszystkie stanowią niezapomniane dni naszej młodości wojskowej, więc warto do nich zawsze wracać po radość życia i beztroski humor.

Prosimy czytelników, by zechcieli teraz zapomnieć o miejscu i okolicznościach, w jakich się znajdują, przenosząc się myślami do SPRA.

— W chwilę, gdy pada stanowcza i nieodwołalna komenda, poważnie głosem podoficera służbowego wypowiedziana: „C a p s t r z y k!".

Skończył się już teraz długi szereg wizji lokalnych: pod łóżkiem, obok walizki, między łóżkami, pod i nawet na szafce panuje idealny porządek. Odszedł już podoficer dyżurny i nawet w nadziemskiej sferze stąpający przez cały dzień p. o. szef kładzie się do snu i jak zwykły śmiertelnik układa kostkę znanych rozmiarów.

Tu i tam dają się słyszeć (o, zgrozo!) rozmowy, a w ciemnościach rysują się sylwetki w bieli. Wreszcie z działonu — (numeru przez dyskrecję nie wymieniam) działonu, który nawiasem powiedziawszy — jest „oczkiem w głowie" ogniomistrza szefa pada hasło:

„Każdy budzi swego sąsiada".

Przez sale przechodzi szmer zadowolenia, radosne podniecenie w oczekiwaniu artystycznych wzruszeń.

Tymczasem zespół aktorski czyni ostatnie przygotowania. Jeszcze delegat przychodzi do „marynarza" w sprawie występu rewellersów w dzisiejszej audy-



cji. Jeszcze ktoś ostrzega podoficera służbowego na wypadek, gdyby oficer służbowy szkoły zechciał nas odwiedzić: „...a pamiętaj, melduj się głośno!". Będzie to sygnał ostrzegawczy...

Teraz już mają zacząć, ale brak niezbędnej latarki. Przez działony, aż do odległych „nietoperzy" przechodzi wezwanie: „Jaworski, pożycz latarkę". Jakkolwiek wyżej wzmiankowany od pobudki do capstrzyku i od capstrzyku do pobudki reprezentuje raczej element solidny w naszym gronie, to jednak żywiąc duży kult dla sztuki — pożycza latarkę.

Więc i wreszcie sam teatr. Słów parę o jego genezie i twórcach. Powstał, jak jego grecki antenat, z dialogu, który na temat aktualnych wydarzeń prowadził „Karol - przedłużnica" z „głosem tłumu". Z czasem sprawę udoskonalono i rozszerzono. Duszą jego, dyrektorem, autorem, i aktorem w jednej osobie stał się Janek Golka, mąż opatrznościowy, który owe ciężkie obowiązki niebywale lekko znosił, podobnie jak funkcje dekoratora, celowniczego i starszego stołu.

Rozpoczyna się audycja pełna humoru i beztroskiej radości, świetna satyra na kolegów i stosunki koszarowe. Jutro znowu wrócimy do zajęć, ale dziś jeszcze usłyszymy żądanie:

„Chcemy sposobem fi i omega
usunąć wszystko co nam dolega".

Okresy repetycyj z opisu sprzętu były epokowym wydarzeniem w naszym życiu. Uczono się po całych dniach. A byli tacy, którzy przez sen recytowali działanie zapadki. Poświęcono im w naszym teatrze strofy.

Ma uchwyt głowica
I gwint ma dłamica
Potem panewki razem z otworami
I jeden czepiec z trzema ramionami

Gniazdo ma rowek
Rowek oporek
Opór ma zakrętkę
Dziura ma dętkę

Chwytka ma bączki
Ucho ma rączki
Klamka — łożysko
zamek ma wszystko.

Urlop świąteczny to nieustający przedmiot rozmów, nic więc dziwnego, że i on znalazł się w formie piosenki śpiewanej na popularną melodię *„Ach, Ludwiko"*:

Do urlopu się doczekać
I ze szczęściem swym nie zwlekać,
Byle dożyć słońca pełnych wiosny dni
A więc wszystkie nasze nacje
Pragną ujrzeć swoje stacje
Na nich z kwiatem w dłoni wszystkie Wy

A tak znowu wygląda w zwierciadle satyry rozmowa starszego klasy z baterią:

Chór:
O co ci idzie?
Nie widzisz, że my
Z szaleństwa drżymy...

Starszy klasy:
Oni śnią z myślą w piersi
Że będą pierwsi.

Słuchowisko pełne jest dyskretnych aluzji i świetnych aforyzmów. Pierwsza wędrówka pod 44 wywołała powiedzenie: *Wiedzą sąsiedzi, za co kto siedzi*".

Wogóle teatr po capstrzyku jest zwierciadłem naszych przeżyć, wiernym i pogodnym, jak dusza żołnierska.

Podch. Stefan Boratyński

ANTYTALENT

czyli rzecz o piątym zastępie

— No, ja już mam tego dość!

To było ostatnie zdanie, po czym denat tytułowany był per „pan" i wogóle, co tu dużo mówić.

— Czy ja mam na pana czekać?... Trzeba mieć trochę ikry!... ale z was to antytalent.

W siedemnastu słuchaliśmy w towarzystwie zahukanych koni, które prowadziliśmy „na łączności" w ustawicznej trwodze, żeby ręka w łokciu była „wyraźnie załamana".

— Za kanonierem Sosnowskim w lewo na ogony marsz!... Czy to są ogony? Nawet głupiej jazdy na ogonach nie można z wami zrobić... Nie wybrzuszać ujeżdżalni! Ofermo, dlaczego rogów nie wyjeżdżasz! Luzaka można tego nauczyć, ale inteligent tego nie rozumie. A dlaczego? bo inteligentowi to wisi, za przeproszeniem...

I po chwili:

— Gdzie jedziesz, matołku! Czy wy się macie bać konia, czy koń was! Trzeba mieć szczyptę rozumu. Wy usypiecie na tym koniu... Dobrze, Mikulski! Paluszkiewicz, pięty pokazać!... Zmiana kierunku przez ujeżdżalnię... Jak wy wodze trzymacie?... marsz!

— Szotarski, szpitalniku, dokąd? Panie Boratyński, będzie ten galop? No, łydkami mocno walić, nie żałować, lewa łydka — prawa wodza i w... Co drugi na koło! Tak, dodać, szersze koło! Gdzie ta idiota polazła?

— Na przeszkodę! Nie ściągać! No, mówię, żeby nie ściągać! Ja już mam tego wszystkiego dość! Wy będziecie świetnie jeździć, ale na rowerze... Woźniak, nie na przedni łęk! Łydki aktywne. Dłużewski, ten koń wam luzem chodzi! O, tak, jak Schatz! Schatz, pogłaskać konia i siebie. A ten zgarbiony jak żydowski paragraf... Luzem w lewo marsz!... Co robi kanonier na komendę „luzem w lewo marsz"?... Szuka miejsca, myśli... Tam taka duża dziura, a on się tutaj pcha! Ilu was tam jeszcze pojedzie?... Dowolnie maarsz!



— Nie jeździć po prostej, ósemki, koła, zakręty, znowu wszyscy pojechali w lewo. Kierować tym koniem. Koń jest mądry!

Tak — nie można wyjść z podziwu nad mądrością konia. Koń staje dęba. Nie toleruje jeźdźca na swym grzbiecie. Koń jest mądry, tylko jeździec...

— Starać się pilniej to ćwiczyć, wyciskać pięty na schodach, a nade wszystko myśleć. Trzeba być pojętnym!

Piąty zastęp nie celuje w tym zbytnio.

. . . .

. . . .

. . . .

Z melancholijnego stuku kół i rozkołysanej dorożki — koszary. Z lirycznych rozmyślań, epiki plotek i zasobu życiowej wiedzy — realna proza wojskowa. Dokąd? Gdzie Jak? Z kim? S.P.R.A.

Gdy znikły, zmalały, niejako skurczyły się w swym dostojeństwie cywilnym „dawne", to co już minęło: godność, tytuły, zaszczyty — rozpłynąłeś się w morzu odindywidualizowanych, ogolonych głów. Aż wreszcie...

Popołudnie w stajni. Pierwsze „zbliżenie" i nawiązanie kontaktu.

— Do trzech... odlicz!

Rezultat — masz już pozycję w tym nowym, egzotycznym, wojskowym społeczeństwie — należysz do piątego zastępu konnej jazdy. A potem...? Potem, jak rozszalały barwami kolorowy film, w gruncie rzeczy codzień to samo, a jednak jakże inne i niepodobne do wczoraj.

Ranek wstaje pobudką, działonem w umywalni, gimnastyką i kawą. Wieczorem... apel: buty, spodnie, karawasze, pas, żabot, furażerka, — od stóp do głów. W porządku — zapisać — woda. I już po osłonecznionej drodze, — piękna wołyńska jesień — do stajni.

Siodłanie — wymaga odrębnego traktatu.

Wyprowadzać!

. . . .

. . . .

I dnie pełzają, wstają, maleją, nikną. Starość wojskowa. Dnie, tygodnie, miesiące, okres, urlop — a koń w galopie na lonży.

Podch. St. B.

INWENTARZ KOSZAROWY

karabin —

stoi w kącie karabinek
tak, jak od niechcenia —
i wciąż mu się tylko zdaje,
że jest do rdzewienia.

łóżko —

łóżko jest to taki przyrząd,
co każdego znuży:
ty je ciągle będziesz ścielił,
a pan kapral — burzył.

kubek —

co perpetuum mobile —
wszak problem nietrudny:
wciąż naprzykład czyścisz kubek,
a on — wciąż jest brudny.

woda —

woda wiele ma swych zalet
nie do zaprzeczenia:
bardzo dobra jest do picia,
lepsza — do noszenia.

lekarz —

lekarz? — bajka, każdy powie,
lecz to wcale nie jest bajka,
gdy ktoś zamiast wstawić bańki,
wstawi ci po prostu... jajka

chlebak —

chlebak tym się tylko różni
od podobnych jemu gratów,
że jak sama nazwa mówi —
do noszenia jest granatów.

Podch. T. Tokarz

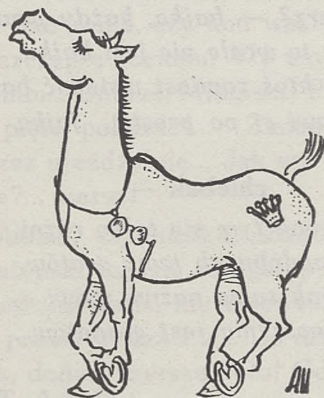
Wykład o wiadrze

— Baczność! Zainstruuję wam wiadro! Spocznij!

— To, co stoi przed wami, jest to wiadro typu polskiego, wzór 920/38. Składa się z trzech części: dna, walcowatej ściany bocznej i łukowatego nosidła. Dno o promieniu 125 mm jest to płyta blaszana z kryzą, wygiętą ku górze. Kryza, wysokości 15,5 mm przylega ściśle do pierścienia wzmacniająco-osadczego. Dno posiada dwa rowki okólne głębokości 3 mm, służące do osadzania się brudu. Rowków tych nie posiada dno wz. 920/28. Pierścień osadczowzmacniający, stalożeliwyn, na spojeniu złączony jest dwoma trzpieniami o głowicach płaskich wz. 15/32 kaliber 3. Szerokość 30 mm, grubość 3 mm. Łączy on dno ze ścianą boczną walcową, do której jest przylutowany i umocniony ośmioma trzpieniami o głowicach czworokątnych wz. 15/33. Ściana walcowa zrobiona z blachy cynkowej nierdzewnej od wewnątrz, wysokości 324 mm, jest stożkiem ściętym. Promień otworu górnego wynosi 275 mm. Brzeg jest obramowany pierścieniem wzmacniającym z wkładem stalożeliwnym.

U góry ściany bocznej widzimy dwa ucha. Ucho lewe z lewej i prawe vice versa. Ucho zaopatrzone u góry przezierną szparą kolistą dla obsady kabłąkowej nosidła przymocowane jest do ściany bocznej trzema przetyczkami stałymi, wz. 15/33 kaliber 4. Do uch przymocowane jest wymienne stalożeliwne nosidło łukowe wz. 28/38. Nosidło łukowe o średnicy 4,5 mm ma prawo wymienić nosiwoda. O wszelkich innych zacięciach i uszkodzeniach sprzętu należy meldować podoficerowi kwaterunkowemu, odsyłając sprzęt wraz z meldunkiem.

Podch. Tadeusz Tokarz





SEKCJA K. K. O.

Baterja idzie do czyszczenia dział,
(znasz artylerji to największe zło)
Kto z nas nie pójdzie, kto zniknął jak strzał?
— odpowiedź pewna: „sekcja KKO!"

Szczotkę i zgrzebło trzeba wziąć w dłoń,
do stajni pójdzie chłopców chyba sto.
Poszło sześćdziesiąt... Uśmiechnął się koń,
bo wie, że reszta... sekcja KKO.

Czyścić rejony — to wcale nie śmiech,
wszystkich raportów to jest właśnie tło.
Nie sprzątnąć placu? — i skandal i grzech.
Kto nie zna miotły? — sekcja KKO.

Przyszły awanse, jakby piorun trzasł.
Na ramię belka i na urlop — wio!
Nagle niektórym gościom humor zgasł:
kto bez awansów? — sekcja KKO.



Z cyklu:

»TYPY KOŃSKIE«

»ARYSTOKRATKA«
»D R U H N A«
»S Ę D Z I W Y«

rys. **A. Hoffman**

CHULIGANY



odobno jesteśmy tacy, jak on — jak syn pana kapitana. Poprostu chligany.

Tak, on tak samo! Włożyłby wszystko nowe... i w błoto. Miał łyżwy — sprzedał i kupił narty. Postawił mokre za piecem. Zepsuł, chuligan. Tak.

— Buty wyjściowe posmarować tranem... i do magazynu — prawda, Zaremba, że mam rację?

Magister wstaje, coś bąka, czuje się przygnieciony ważnością, splendorem, jaki spadł na jego magisterskie barki i chociaż jako prawnik, winien mieć w zapasie słowa błyskotliwe — milczy i tylko kiwa głową leniwie, jak „Sobek", który nie chce iść nawet kłusem.

Pan kapitan popatrzył po sali, prześlizgnął się wzrokiem po ścianie i zatrzymał go dopiero na drzwiach — u samego dołu. Patrzył długo. Chrząknął, poruszył mięsistymi wargami, podniósł wysoko trójkątne brwi i wśród ciszy zawyrokował:

— Wstrzymuję wszystkim wyjście do miasta na dwa tygodnie. Wy i mój syn... on to samo — wszystko zniszczyć, ale ja kawał pasa w garść, chuligana łeb między nogi... i trzepę kurz! A palarnię też zamykam — do niedzieli — ściana podrapana!

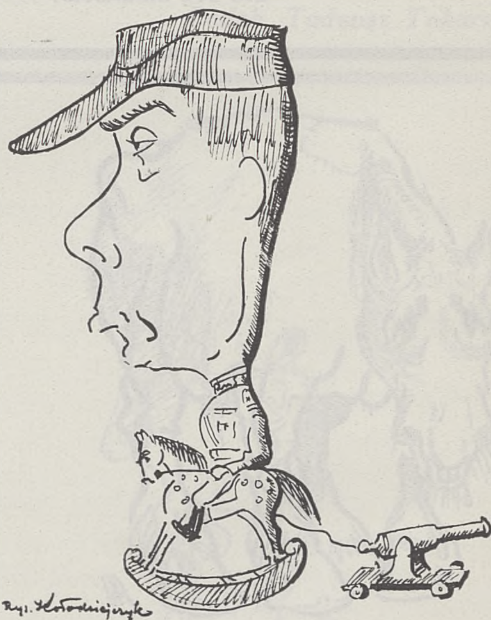
„März" westchnął żałośnie, jękliwie, poprostu rozdzierająco — „dwa tygodnie" — wyszeptał i pobladł. Zerknął tam, gdzie patrzył pan kapitan... Za taką kreskę... jak włos. Dwa tygodnie... dwa... i dwie niedziele.

Waldek vel Brochwicz starał się go pocieszyć.

— Słuchaj, powiesz jej, żeś był chory, żeś miał służbę, wartę... żal mi jej i ciebie, ofermo.

Ale „März" był niepocieszony. Wszystkie możliwe rozkosze zostały przekreślone. Łzawił się wewnętrznie, a nazewnątrz przyoblekał się w stoicki spokój. Spojrzał jeszcze na „starego", jakby tam chciał znaleźć pocieszenie, ale ten nie miał w oku współczucia, lecz głód wiedzy artyleryjskiej, głód, który szarpał jego wnętrzem, który był zmorą spędzającą sen z powiek i każącą czyścić karabin, szablę, bagnet przy blasku gwiazd... do glancu, do słonecznego połysku.

To, co mówił dowódca, jego nie doty-





czyło. On tego nie zrobił, on by tego nie potrafił zrobić — on mało chodzi, on siedzi, czasem leży (tylko na taboretach)... i kuje. Kobieta? — nie! Gwiazdka jedna, druga, trzecia — owszem. Kobieta? — nigdy!

„März"? — tak! Kobieta — alfa i omega. Wzdycha, wyciąga pomiętą fotkę... i grube łzy spadają na kostium kąpielowy, gazele oczy, najsłodsze usta.

Mary, Mary — dwa tygodnie — służba, warta — służba nie drużba — kreska na drzwiach, kreska na ścianie w palarni — i jedna łza upadła na regulamin artylerii „Walka".

Poderwał go cios w bok i szept Waldka.

— Ofermo, gadaj o współdziałaniu! No... no... łączność w natarciu...

— Łączność w natarciu stracona! — ryknął na całą salę „März". — Waldek doszeptał „na dwa tygodnie", a na „Märza" spadły słowa ciężkie, dobijające.

— Cymbał... — i wyrok — Napiszcie 200 razy: „gdy ktoś jest leniwy, nic mu się nie chce robić".

— — — — — — — — — —

Światło zgasło.

— Cisza, do jasnej... Capstrzyk był! — i na potwierdzenie ważności swych słów, służbowy brzęknął ostrogami.

Odpowiedziało mu z 6-go dz. rechotanie żaby, a gdzieś z oddali zaciurkotał słowiczo „Różyczka".

— Fest słowik, prawda Maju?

— Ychy!

Na 4-ym dz. „Nerwus" charczał, szpetnie wymyślał, że niech go pocałują w nos, że kocem mogą straszyć żydów i inne mniejszości — ale po chwili dudnienie zwiastowało wszem wobec i każdemu z osobna, że „Nerwus" dostaje. Spod koca wyrwał się jęk.

— On już pewnie skończony, nerwowo nie wytrzymał — pomyślał głośno „Węgiel".

— Cisza, do cholery! — z jednoczesnym trzaśnięciem drzwiami ryknął p. o. szef „Um".

Jasio „Bylic" poskarżył się przeciągle:

— No, dejcie spokój, to tyż są ludzie?

„Um" począł grozić, że do raportu, zrobi pobudkę, rewię mody, począwszy od drelichów ćwiczebnych, aż poprzez całą kolekcję sortów mundurowych, do krótkiej, z pięcioma pieczęciami koszuli. — Ja wam dam w...

„Puchacz", przyjaciel „Uma" od czasu sławnej nocy, w której to zakochał się w księżniczce Juliannie, zgasił p. o. szefa. — Bolu, jeszcze się taki nie urodził, coby nam dał w...

Śmiech baterii urwał się. „Um" nie zdążył „Puchacza" przedstawić do raportu karnego — wszystko zamarło, wionął tylko szept: „cisza!". Od drzwi brzęczały ostrogi i płynęła smuga światła, ślizgała się po belkach sufitu, kostkach, butach, śpiących twarzach. Bateria spała snem sprawiedliwych.

— Tak jest, panie poruczniku... Tak jest! Rozkaz!

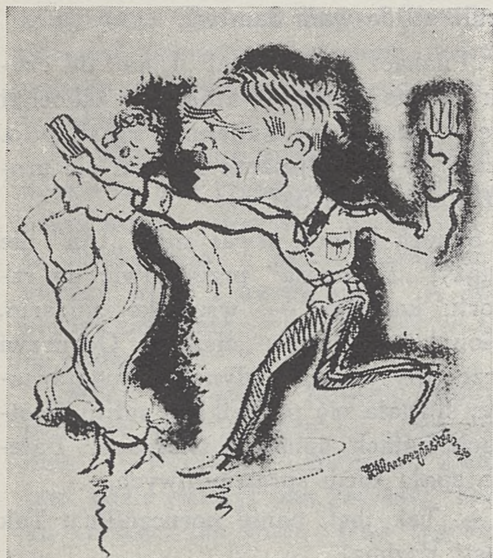
Brzęk ostróg począł pełznąć ku drzwiom. Wachlarz światła zachybotał się na moment między jedną ścianą a drugą. Cisza trwała. Nagle nieoczekiwanie ciszę, brzęczącą w uszach, przerwał straszny, poprostu upiorny krzyk, krzyk, który poderwał całą baterię:

— ...ypych.

Odpowiedział mu śmiech. Pod łóżkiem „Pola" coś głucho stuknęło, ten powiedział „pięć", wygrzebał się spod koca, wlazł pod łóżko, wymacał pułapkę i poinformował wszystkich, że od chwili ogłoszenia capstrzyku już piątą mysz... i że Chomicki ma dobrą kiełbasę, bo myszy się dobrze łapią. Z czosnkiem.

Znów się rozpoczęły śmiechy, rozmowy. Chomicki z kąta, z górnego łóżka począł brząkać na gitarze i fałszować: „Car Mikołaj wydał manifest" i że „nastroił gitaru"..., a „Puchacz" piał falsetem: „Papowna, papoowna, papowna...".

Koncert przerwał „Um", który zjawił się jak duch.



— Chomicki jutro do raportu... — i przypomniał sobie „Puchacza".

Powietrze przeciął świst. „Szprync" jęknął, a Wojtek stwierdził, że „Szprync" porodził sznycla. Zerwał się szept. I Waldek chciał i „März" i „humorysta". Któryś wreszcie dostał, bo świst znów przeciął powietrze.

Na 3-im dz. „Łazarz" począł pomstować, złorzeczyć.

Powietrze zaroiło się od pocisków. Latały sznycle, skórki z boczku, zjełczałe masło. Smugi światła od latarek elektrycznych przecinały powietrze, padały komendy, w lewo, prawo, krótki. Długie poznawano po pacnięciach o ścianę. Pudełka od pasty poczęły brzęczeć, toczyć się... i toczyć. A gdy po komendzie „powiększyć o 20 — 3200", zabrzęczała szyba, „Um" znów się zjawił.

To 3-i dz. zaczął i 6-y:

— Cicho, „Łazarzu!"

— Ach ty, „Puchaczu" głupi!

— Trzeci..!

— ...cholera szósty..!

— ...cóż się wygłupiasz?

Dyskusję przerwał „Um".

— Trzeci i szósty powstań. Za dwie minuty zbiórka w drelichach, a później w wyjściowych, a później w płaszczach, i rogatywkach, i furażerkach...

Gdy usypialiśmy poraz drugi, znów klapnęło pod piecem, Pol odliczył: „jedenaście", zwlókł się z łóżka i wyniósł jedenastą mysz.

— — — — — — — — — — —

Najpierw przyszedł Bolo. Krokiem chwiejnym, kaczym, dotarł do swego łóżka, z brzękiem odpiął szablę, wyszeptał: „zaprowadźcie mnie do..." a gdy wrócił, był blady. Z hukiem runął na łóżko, powiedział parę przekleństw,

parę razy „Puchacz, Puchacz"... i zasnął.

A później jakimś cudem trzymający się na nogach, przyszedł „Puchacz". Cały korytarz był jego. Na wargach wisiał zagadkowy uśmiech.

— Bolo, Bolo, tyś przyjaciel, uciekłeś, zdradziłeś... ja kocham księżniczkę Juliannę... Bolo, Bolo, ja jestem romantykiem, ja kocham przyrodę, otwórzcie okna... Okna. Ja kocham cały świat i pół Ameryki... Prowadźcie mnie do zamku księżniczki Julianny... — i padł na łóżku obok Bola.

— — — — — — — — — —

„Struś" ryczał:

— Biegiem, biegiem marrsz! Biegiem, biegiem marrsz...! Szczotki i pasy na dwór! Biegiem marsz, biegiem, biegiem!

— B a t e r i a! Rogatywki, płaszcze ćwiczebne — ALARM!

— — — — — — — — — —

— Kołyska jest w kształcie litery U, ze stali. Tu w celowniku jest taki przyrząd optyczny... dia...dia...diaterma. — Na ustach zakwitły uśmiechy.

— — — — — — — — — —

Po twarzy ścieka pot. Wreszcie:

...w dwuszeregu zbiórka! Wiecie, że ja się na was nie mogę nawet gniewać... — i uśmiechnął się. — Czołem, pluton!

— Czołem, panie poruczniku!

Kochany chłop. Kiedyś na balu, przy bufecie „Tustan" przysięgał, że się da za niego porąbać. Cały pluton dałby się za niego porąbać.

Wracamy do koszar. Wszyscy nucą:

„na Beju jeździł, humor miał
„ha?" — plicki".

— — — — — — — — — —

Pan kapitan patrzy po baterii.



— Jesteście chuligany, ale od czterech lat nie miałem takiej baterii. Chuligany, prawda Zaremba?

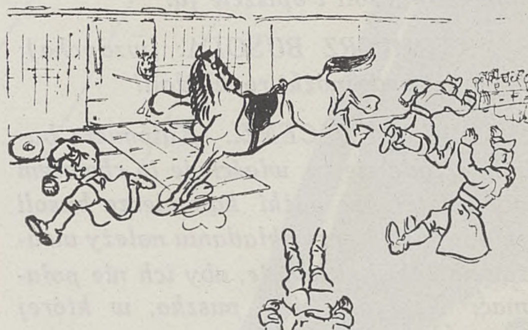
Magister krzyknął:

— Tak jest!

— Jutro jest niedziela i kto chce, może iść na przepustkę.

„Märzowi" oblicze się rozjaśniło.

Podch. Kazimierz Muszyński



ĆWICZENIA ZAŁADOWAWCZE

»IST«

dramat 45 minutowy w jednej odsłonie.

Rzecz dzieje się na instrukcji strzelania podczas repetycji. W akcji biorą udział: Wykładowca, zdający - szeregowy z cenzusem, chór szerogowych z cenzusem, strzelnica zmniejszona, kątomierz - busola oraz cele: obserwator npla na wodokaczce, 2 c. k. m. (koniecznie ukryte w krzakach).

Całość podzielona na 3 okresy 15 minutowe.

PIERWSZE 15 MINUT.

WYKŁADOWCA: (ponurym głosem): *A więc zaczynamy repetycję z instrukcji...*

CHÓR Z CENZUSEM: (niespokojnie): *Byle nas nie ruszył, tak dobrze nam się śpi!* (ziewają).

WYKŁADOWCA: Bomb. z c. Moczywłosek Olek.

ZDAJĄCY Z CENZUSEM: Jestem!

WYKŁADOWCA: Rozłóżcie nóżki kątomierza-busoli i opiszcie ją!

KĄTOMIERZ BUSOLA: (wzdycha): znów mi będą nóżki rozkładali!

ZDAJĄCY Z CENZ.: Kątomierz busola składa się, a właściwie to chciałem powiedzieć, że nóżki kątomierza busoli składają się i przy składaniu należy uważać na zakrętki uchate, aby ich nie połamać. Następnie jest puszka, w której mieści się igła...

WYKŁADOWCA: Co dalej?

ZDAJĄCY Z CENZ.: Dalej, dalej jest włos i główka...

WYKŁADOWCA: Co?! — co za włos?! — Czyj włos?! — jaka główka?! — Włosy stają mi dębem na głowie. (stają mu dębem włosy na głowie).

KĄTOMIERZ BUSOLA: (z jękiem): *Skąd włos, czyj włos, jaka główka?!*

CHÓR Z CENZ.: (trwożnie): *Wykładowcy stanęły włosy dęba na głowie i co teraz? — Cicho wszędzie, głucho wszędzie, co to będzie, co to będzie?!*

WYKŁADOWCA: (włosy ułożyły mu się z powrotem w fryzurę na głowie). *No, to może postrzelamy. Przyszykować stół i cele!*

STRZELNICA ZMNIEJSZONA: (z westchnieniem): *Będą mnie znów szykowali.*

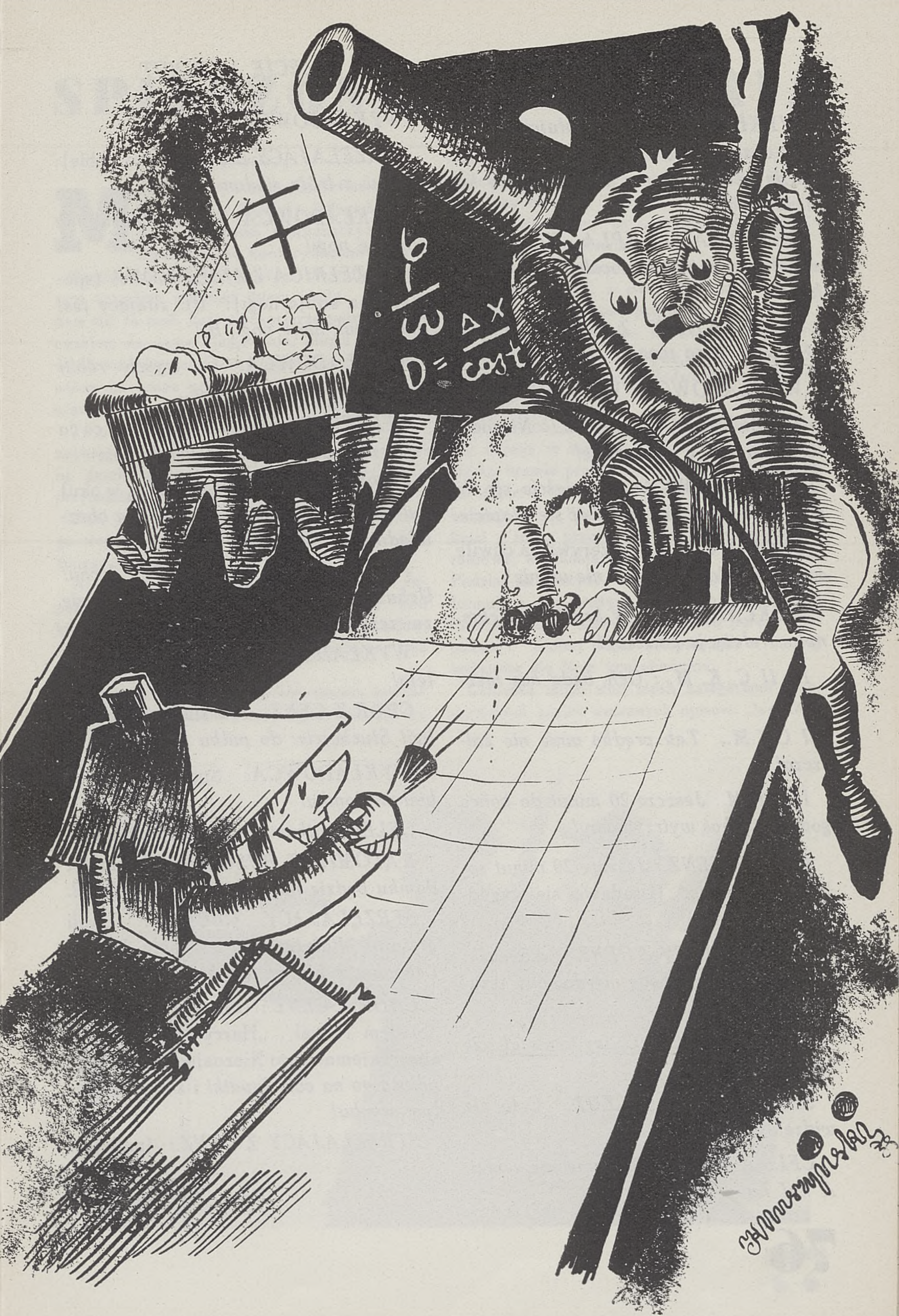
CELE: Znów będą do nas strzelali, ale nie martwmy się: nim przejdą z wstrzeliwania do strzelania polepszającego, to na ogień skuteczny czasu zabraknie.

WYKŁADOWCA: Obserwator „npla" na wodokaczce. Należy go stamtąd wyrzucić!

OBSERWATOR NPLA: Trzymajmy się, chcą mnie stąd wyrzucić!

STRZELAJĄCY Z CENZ.: Dozór Nr. 1. pow. o 50, zmniejszyć rozwinięcie o 5 — granat zwykły, ładunek normalny, zapalnik z długą zwłoką. — 1 działo — poz. plus. 7,4000!

CHÓR: Zabierzmy się do czytania „Siedmiu Nowel", „Harry Dicksona", i „Przygód Tajemniczego Nieznajomego" — alias Lorda Listera. On tak prędko nie skończy!


6-1/3
Δx
D= cost

DRUGIE 15 MINUT.

WYKŁADOWCA: Pocałujcie w nos tego obserwatora npla. Myślicie, że on będzie czekał, aż wy wystękacie tę komendę, co?

OBSERWATOR NPLA: Ho! ho! ho! strzelający ma mnie pocałować w nos — hi! hi! hi!

STRZELAJĄCY Z CENZ.: Prawo 120, pow. o 60,4000!

WYKŁADOWCA: Wystrzał!

STRZELAJĄCY Z CENZ.: Niezaobserwowany! Te same dane!

WYKŁADOWCA: Przenieście się do saperów, może tam prędzej się utopicie.

CHÓR Z CENZ.: (przerywa na chwilę czytanie). *Co ma wisieć nie utonie!*

WYKŁADOWCA: W krzakach 2 ckm. npla. Należy je zniszczyć!

I i II C. K. M. : Och, będą nas niszczyć!

I C.K.M.: Tak prędko mnie nie zniszczą!

II C.K.M.: Jeszcze 20 minut do końca godziny, jakoś wytrzymamy!

CHÓR Z CENZ.: Jeszcze 20 minut sobie poczytamy... (Usadawia się wygodniej w ławkach).

STRZELAJĄCY Z CENZ. (wzdycha): *Jeszcze 20 minut będę mordowany* (szuka czegoś w lornetce).

WYKŁADOWCA: Co wy tam szukacie tą lornetką?

STRZELAJĄCY Z CENZ.: Celu nie widzę.

CEL: A ku! ku! On mnie nie widzi. A ku! ku!

TRZECIE 15 MINUT.

WYKŁADOWCA: Siadajcie!

STRZELAJĄCY Z CENZ.: (do siebie): *I znów z tróją siadam.* (siada).

WYKŁADOWCA: Jesteście durny jak stołowe nogi!

STRZELNICA ZMNIEJSZONA (spogląda na swoje nogi): *Hi! zdający jest durny, jak moje nogi. Hi!*

WYKŁADOWCA: Co wyście robili podczas wykładów, chyba...

STRZELAJĄCY Z CENZ.: Tak! co ja robiłem podczas wykładów, chyba...

OBSERWATOR NPLA (ze łzą w oku) *Żal mi go! — Szkoda, że mnie nie obezwładnił.*

I i II C.K.M.: (szlochając): *Uchu! Uchu! żal nam go, szkoda, że nas nie zniszczył.*

WYKŁADOWCA: Do pułku was wyleją!

CHÓR Z CENZ.: Przestańmy już czytać! Słuchajcie: do pułku go wyleją!

WYKŁADOWCA: Spotkamy się w białym domku!

CELE: Spotkamy się w białym domku!

KĄTOMIERZ BUSOLA: W miałym domku będzie mi znów nóżki rozkładał.

STRZELAJĄCY Z CENZ.: (myśli głośno): *Położą mnie na obie łopatki i skonam w białym domku.*

CHÓR Z CENZ.: (Przestał już czytać „Siedem Nowel", „Harry Dicksona" — alias Tajemniczego Nieznajomego): *Ojej! położą go na obie łopatki i skona w białym domku!*

STRZELAJĄCY Z CENZ.: (mdleje).

Poch. Zb. Budzyński

SPIESZONA ARTYLERIA

Wymarsz.

Mrok chłodny i szary. Gdzieś za budynkami koszar piechoty, ledwo dostrzegalne przeczucie świtu znaczy niepewnie rozmazane kontury dachów i drzew.

Przechodzimy bramę owiani niewytłumaczonym uczuciem radosnej dumy i siły. Wydaje nam się, że mali, kusi piechociarze patrzą z szacunkiem na nasze długie buty, długie postacie, wydłużone jeszcze przez długie płaszcze i oczywiście na nasze polówki, które nawiasem mówiąc zafasowaliśmy nie dalej jak wczoraj.

Te polówki przede wszystkim dodają nam junackiego wyglądu, mimo, że zużyte, powyginane daszki zdają się świadczyć o przetrwaniu przynajmniej dwu wojen.

Tak, jak my czuć się muszą pułki doborowego wojska, wkraczającego z odsieczą do oblężonego miasta.

Ale właściwie powodów do dumy nie ma zupełnie. Jesteśmy nowicjuszami, którzy pod kierunkiem niepozornych, skromnych strzelców, z kilkoma ślepakami w kieszeni będą stawiać pierwsze „bojowe" kroki.

Długie płaszcze i buty nie wywyższają nas też bynajmniej, a raczej wywyższają nas jedynie we własnych oczach; gdyby było jaśniej, na pewno ujrzelibyśmy na niejednej strzeleckiej twarzy ironiczny uśmiech, taki sam, z jakim doświadczony łazik patrzy na „cepra", wybierającego się w góry w półbucikach.

Tymczasem stoimy w długich szeregach, bateria przy baterii, a ciemność mnoży zbrojne sylwetki w niezliczone pogłowie.

Z bladnącego zwolna mroku wymykają się przed nami smukłe sylwetki topol, pełne lekkości i wdzięku w swych ledwo dostrzegalnych zarysach.

W koło nas ruch wzmaga się. Patrol narciarzy ubrany w biel od stóp do głów przesunął się ku bramie prędko i tak cicho, że ujrzeliśmy go dopiero, gdy chrobot nart odezwał się w bezpośredniej bliskości. Skrzypiąc pneumatykami o śnieg, przetoczyły się lekko dwa wózki radiowe, wyglądające na zabawki z luna-parku. Podział na drużyny. — Krępi, służbiści strzelcy formują z nas drużyny, ustawiają, przydzielają funkcje. Każdy dostaje dodatkową porcję „ślepaków". Stoimy teraz kompaniami, a nastrój wytwarza się iście konspiracyjny.

Człowiek mimo woli myśli kategoriami przeczytanych gdzieś wojennych opisów: „we Wło-



dzimierzu skoncentrowano pod osłoną nocy duże siły, by w decydującym momencie rzucić je do walki".

Zdaje mi się, że pojąłem sens, tak często używanego w wojennych opowiadaniach zdania, że wojsko „aż paliło się do bitwy". Owa bojowa niecierpliwość, to zapewne nic innego, jak ciekawość i niemal że sportowe podniecenie wywołane tajemniczością przygotowań.

Wschód. Słońce wstaje blado i spokojnie bez swego zwykłego patosu — jest już prawie jasno.

Do rzeczywistości przywołuje nas komenda: „na ramię broń!" — Konsternacja. Nie umiemy tego zupełnie. Pierwsze nieporozumienie między broniami.

Młody porucznik piechoty robi nam ustępstwo, komenderując nasze: „na pas broń!". Kompania za kompanią wysuwa się na drogę. Kierunek: do nieprzyjaciela.

Walka

Właściwie nie walka, tylko fachowo mówiąc „bój spotkaniowy". Dopiero rozeszliśmy się naprawdę, gdy oto zatrzymano nas zaraz za miastem.

Przed chwilą minął moment pierwszego, pozornego zmęczenia, po którym dopiero człowiek nabiera drygu i ochoty do marszu. Stoimy teraz na zapchanej wojskiem drodze, ustępując co chwila miejsca konnym zwiadowcom, kręcącym się bezustannie tam i z powrotem.

Gdzieś w przodzie straż przednia bije się już podobno. Gdy wytężyć słuch słychać dalekie, puste detonacje — zupełnie, jakby kto odkorkowywał szereg butelek.

Ten i ów wyciąga z chlebaka kawałek boczku lub chleba i je ze spokojem, pogadując z kolegami. Wszystkie twarze uśmiechają się. — Całkiem niezłe te „maniobry".

Ni stąd ni zowąd wydaje mi się, że przed prawdziwą bitwą żołnierze zachowują się podobnie, jak my teraz — posilają się i żartują obojętnie, tylko że tam ta obojętność musi być ciężka jak ołów i pewnie bardziej skupiona.

Terkotliwy głos karabinu maszynowego odzywa się nagle gdzieś niespodziewanie blisko. Wszystkie głowy odwracają się, rozmowy milkną — zaczęło się na dobre. Karabiny maszynowe odzywają się teraz z kilku stron równocześnie.

I znowu mimowoli przychodzi na myśl czytane gdzieś zdanie: „przed nami grają maszynki...". Schodzimy z drogi i od razu zapadamy po kolana w śnieg. Posuwamy się drużynami w szyku dwójkowym. Jesteśmy już teraz wszyscy nastawieni całkiem bojowo.

Niestety niezrozumiały postój i długie minuty oczekiwania nie wiadomo na co, studzą nasz zapał.

Tymczasem strzelcy wyznaczają spośród nas patrole. Ruszamy znowu.

Ja oczywiście jestem w patrolu i muszę biec na to konto przez pole, wpadając co pewien czas w zaspy, to znów potykając się o zlodowaciałą grudę.

Trzeba przyznać, że patrol z bagnetami na broni, posuwający się naprzód czającym się chodem, wygląda całkiem efektownie. Gdyby nie to, że pot pokrywa już czoło, byłoby zupełnei zabawnie.

„Zbadać te zabudowania!" — Skaczę naprzód i obchodzę pustą stodołę i jakieś szopy z taką uwagą i skupieniem jakbym naprawdę spodziewał się znaleźć tam coś podejrzanego.

Pola łagodnym stokiem wznoszą się ku ostro zarysowanemu grzbietowi

Posuwamy się teraz szybko, gnani ciekawością. — Za tym grzbietem coś musi być. Ostatni skok i nagle padamy na ziemię, wiedzeni zrodzonym dopiero co, bojowym instynktem. Grzbiet kończy się niespodziewanym urwiskiem — w dole sączy się leniwie ciemna lśniąca woda rzeki, dziwnie żywa w miejscach wolnych od lodowej skorupy Po tamtej stronie teren, tak niski, że wydaje się wprost nienaturalny.

Patrzymy na przeciwległy brzeg, jak z lotu ptaka.

W opłotkach leżącej pod nami wsi jakiś ruch: schylone szare sylwetki przebiegają szybkimi, drobnymi kroczkami odsłonięte miejsca pomiędzy zabudowaniami.

Ognia! — Strzelamy i nasłuchujemy przez chwilę z zakłopotaniem: może to nasi — pierwsza kompania mogła już przecież sforsować przejście przez rzekę.

Niepewność rozwiewają strzały z tamtej strony. W opłotkach ruch ustał, ale na śniegu długą linią leżą nieruchomo ciemne plamy ludzkich, przyczajonych postaci.

Oglądam się za siebie. Kompania rozwinęła się szeroko i skokami podchodzi na naszą wysokość. Coraz to ktoś pada w śnieg wysuwa-



jąc przed siebie lufę karabinu, jak żądło, gotowe ugodzić przeciwnika.

Głośno i pewnie odzywa się z lewej strony nasz C.K.M.

Wzdłuż całego urwiska rozlegają się teraz strzały i w coraz to nowym punkcie wybucha zrzędzące szczekanie maszynek. Bitwa. — Po pewnym czasie przestaje nas to bawić, tak, jak w pierwszych chwilach; ogień wyraźnie słabnie. Akcja trwa jednak. Tuż za naszą linią montuje się punkt obserwacyjny. Patrol narciarzy, wybiegłszy spośród odległych zabudowań, zbliża się, ciągnąc szybko i sprawnie linię telefoczną. Z zaciekawieniem patrzymy na obserwatora. — Przyklęknął przy aparacie, dopiero co wręczonym mu przez dowódcę patrolu — rozmawia.

Otrzymaliśmy wsparcie artyleryjskie.

Nieprzyjaciel musiał też coś zwąchać, bo niespodziewanie opuszcza swe pozycje.

Ciemne postacie znikają, jakby roztapiały się w śniegu i dopiero na dalekim wzgórzu widać cienkie sznureczki odmaszerowujących śpiesznie drużyn.

Leżymy chwilę jeszcze, jakby chcąc zaznaczyć, że to my właśnie jesteśmy panami placu i z kolei sami, drużyna za drużyną ruszamy wzdłuż brzegu urwiska. Śnieg jest coraz głębszy, ale my nie czujemy zmęczenia.

Teren obniża się znacznie. Schodzimy nad samą rzekę. Na lodzie pionierzy ułożyli kładkę z grubych bali.

Przechodzimy śpiesznie. Przed nami znów strzały — to pierwsza kompania oczyszcza drogę.

Pod dużą, zawianą śniegiem stodołą krótki odpoczynek. Ze zdumieniem patrzymy na swoje opalone twarze, które w ciągu kilku godzin przybrały zupełnie nowy wygląd.

Opowiadamy sobie wzajemnie swoje wrażenia z takim przejęciem, jak gdybyśmy stoczyli prawdziwą bitwę.

Chwila wytchnienia jest krótka. Ruszamy dalej. Przed nami wzgórza z kilkoma budynkami. Tam właśnie trwa jeszcze walka.

W bojowym szyku zbliżamy się do owych chałup, gotowi w każdej chwili zaatakować nieprzyjaciela.

Podoba nam się ta sytuacja. Nieprzyjaciel cofając się, usiłuje stawiać nam opór, a my pędzimy go przed sobą, nie dając mu odetchnąć swobodnie.

Niestety nasz zapał gasi sygnał trąbki.

Koniec ćwiczeń. — Raz jeszcze mimo woli nasuwa się „fachowe" zdanie: „Zmusiwszy nieprzyjaciela do opuszczenia stanowisk, sforsowaliśmy przejście przez rzekę i zajęliśmy okoliczne wzgórza". *Podch. J. S.*

TRZY REPORTAŻE
Z MIEJSC NAJPOPULARNIEJSZYCH w SPRA

1. — KANTYNA



ak się właśnie złożyło, że w czasie prac nad rocznikiem, podczas posiedzenia komitetu (byliśmy wówczas zwolnieni z zajęć — o, pamiętna chwilo!) stwierdził nasz redaktor naczelny, że nie ma papierosów. Było to tym tragiczniejsze, że i ja nie miałem. A że brak papierosów bardzo nie sprzyja twórczości literackiej, zostałem wydelegowany do kantyny...

„Kantyna" — ile w słowie tym mieści się bajecznej treści. Trzeba naprawdę świetnego pióra, by roztoczyć wspaniałe obrazy lukullusowych uczt, jakże wymownej dyspozycji: „panie Franciszku, trzy bryzole!" — ze standartową odpowiedzią „służę bardzo!" — i skromne lecz również nie mniej wymowne — „herbatka i to różowe ciastko".

Jest teraz szary poranek. Zwykły włodzimierski dzień roboczy. Zamarło „nocne" życie kantyny. Panuje tu cisza i różanolica panna Jadzia zdradza objawy melancholii. Ale już niedługo, gdy wszyscy wrócą z ćwiczeń, zacznie się nowy gwar i zadyszani goście wypiją parę szklanek sodowej ze sokiem. Znajdzie się też odważny, który zamówi „pół porcji sałatki mięsnej". Owa sałatka — to prawdziwe „specialité de la maison Typiak". Któż jej nie zna i nie pamięta! Trudno nie odnaleść w sobie sentymentu dla sałatki, gdy nad nią zawieraliśmy w pierwszym dniach przyjaźń. Pamiętasz, Leszku?

Obiad i rozkaz codzienny zabierają gości z kantyny. Potem nauka własna, — jak to wiele razy słyszałem — jest taką samą godziną zajęć, jak każda inna. No, i wobec tego kantyna pozostaje znów w opuszczeniu. Nauka własna kończy się. Właśnie służbowy oznajmił to głosem donośnym i dobitnie.

Teraz „naprawa umundurowania", która kończy się czasami apelem. Ale nawet wtedy wśród gorączkowych przygotowań, przyszywania guzików, cerowania i innych makabrycznych czynności gęsto przeplatane są pytania: — „No, jak myślisz, czysty już ten płaszcz" i innymi w rodzaju: „Idziesz do kantyny?".

Tak — idę do kantyny.

Nie umówiłem się z tobą, kolego z wojskowej służby ani w Café Clubie, ani u Loursa — dziś spotkamy się w kantynie. Wiem na pewno, że się nie spóźnisz, bo przyjdziesz zaraz, gdy tylko zadość uczynisz swym służbowym obowiązkom, słowem: gdy cię „władza" na korytarzu wypuści. A także wiem, że w czasie rozmowy o polityce Roosvelta, klauzuli złota, formiźmie, czy autentyźmie ukradkiem spojrzysz na zegarek, bo dzisiaj jesteś sprzątającym na działonie. Rozstaniemy się zgodnym stwierdzeniem, że trzeba już iść buty czyścić.

Ale tymczasem jesteśmy w kantynie. Na żółtym tle stołu sklepowego, zielone mundury i dwóch białych nieprzytom-

nie uwijających się kelnerów. Na ceracie leży jadłospis, którego przestudiowanie zabiera trochę czasu. Więc „móżdżek po wiedeńsku", którego subtelne różnice z móżdżkiem po polsku klaruje mi przez chwilę zniecierpliwiony pan Stanisław. Wreszcie okazuje się, że obu móżdżków zabrakło. Wobec tego, cóż nam do wyboru pozostało? — bigos!

Przynaglany ustawicznie i zaklinany na wszystkie świętości p. Stanisław wyczarowuje tę symfonię na stoliku. Bigos znika w mgnieniu oka. Po tym herbata, ciastko i papieros.

Ty, kolego, w dobrym humorze gawędzisz ze mną o wszystkich sprawach świata tego i o „bezet" i o działoczynach. A przy tej rozmowie czas szybko mija, chociaż w koszarach czekają nieoczyszczone buty.

— Proszę płacić, panie Stanisławie!

Podch. Stefan Boratyński

2. — Izba chorych



Nic nam już nie jest — powiedział przy porannej wizycie pan porucznik — jutro przy wypisie możecie oddać swoją kartę choroby... Chyba, że... — tu uśmiechnął się w łobuzerski, nie licujący z powagą swej osoby sposób — ...że spróbujecie szczęścia i zaryzykujecie rozmowę z panem kapitanem.

Józkowi zrobiło się niewyraźnie. Zakaszlał hałaśliwie, aby uratować pozory. Potem, gdy pan porucznik wyszedł, siadł na łóżku i zamyślił się poważnie, ważąc swoje szanse. Za oknem śnieg z deszczem, błotko pewnie po kolana, a w tym tygodniu same działoczyny i B. Z. Ale z drugiej strony rozmówka z panem kapitanem...

Józek wyobrażał sobie tę rozmówkę doskonale:—„boli...? gdzie boli, gdzie?... tu was boli?... Aaaa... aaa... mówić! Całujcie psa w nos, wy symulant jesteście!" — Józek wzdrygnął się. Przypomniała mu się heca z Mietkiem, który przedwczoraj usiłował sobie zrobić gorączkę.

Mietek był dyletantem i zabrał się do rzeczy po partacku. Nic dziwnego, wpadł, skoro wypstrykał cały termometr aż do samej góry. Nikt nigdy chyba jeszcze nie miał takiej gorączki, jaką on wówczas. „Ciotkę Rozprysk" tak zatkało, że nawet zapomniała Mietka objechać, wetknęła mu tylko termometr drugi raz pod pachę i siedziała przy nim, nie spuszczając zeń oburzonego i podejrzliwego oka. Gdy potem pytano Mietka, ile namierzył, odpowiadał z godnością: „36.6 tak samo, jak i przed tym". Teraz pewnie odbywa Mietek rekonwalescencję w „mamrze". Nie zaszkodzi mu to, może nauczy się rozumu na przyszłość.

— E, nie warto ryzykować... — po-



myślał Józek — ...może uda się ze 2 dni zwolnienia wytargować.

Na salę weszła „Ciotka Rozprysk" i jak zwykle z jej pojawieniem się zapanował ruch; energia, bijąca od tej kobiety, wprawiała wszystkich w podniecenie. Bułki, sprowadzane przez sanitariusza, znikły pospiesznie pod poduszkami, chorzy przybrali na gwałt miny boleściwe, łóżka zaskrzypiały gorączkowo i niespokojnie.

— Obiadu jeszcze niema? „Ciotka Rozprysk" zadała to pytanie tonem najwyższej dezaprobaty. — ...Dlaczego taki bałagan?

Przerażony komendant sali wyskoczył z jakiegoś kąta, starając się prędkimi ruchami zatrzeć wrażenie nieróbstwa. Jego spłowiały kitel furczał i migał wokół rozgniewanej władczyni.

— Pan jaką dietę? — zapytała zwięźle, zwracając się do Józka.

— Normalną, proszę siostry — odparł pokornie.

— Od jutra odżywcza — rzuciła „ciotka Rozprysk" i pognała dalej, dzierżąc w dłoni, jak symbol władzy, nieodłączną końskich rozmiarów strzykawkę z „delbetem".

„Od jutra dieta odżywcza...". Józek czuł, że jego decyzja znów się chwieje; — dieta odżywcza i rozmówka z panem kapitanem. — „Nie trzeba być materialistą" — konkludował wreszcie — „... niech szlag trafi odżywczą dietę!"

Może komu wyda się śmieszne nadawanie jakiejkolwiek wagi sprawom takim, jak diety — kto jednak był na Izbie Chorych, zrozumie to dobrze. Diety stanowią tu o hierarchii, stawiają człowieka na pewnym szczeblu społecznym, tak jak uposażenia w cywilnym życiu. Ci z „odżywczą" — to śmietanka, to elita, spoglądająca wyniośle na „normalnych", a już zgoła z pogardą na „mleczniaków". O hierarchii stanowi zresztą jeszcze jeden, bardziej subtelny podział: podział chorobowy.

A więc przede wszystkim izba dolna i górna. Dolna, to plebeusze: czyraczniki, kaleki, połamańce. Górna izba nie przyznaje się do tej bandy wogóle. Na górze jest parkiet, jest jaśniej, jest wogóle inaczej — czuje się „high life".

Ale i na górnej izbie są kasty. Szary tłum optymatów choruje na gościec stawowy i nieżyt oskrzeli, dwie ściśle lokalne choroby, niespotykane gdzie indziej. Arystokracja przechodzi grypę, a już nieliczni wybrańcy losu, Patrycjusze zblazowani i wyniośli cierpią na lumbago. Lumbago! — sama nazwa ma w sobie coś dystyngowanego i wytwornego.

Wystarczy jednak już grypa, aby należeć do najwykwitniejszej „society" Izby Chorych. Ot, najlepszym przykładem rekrut Kuba. Gdy 4 dni temu przyszedł zabeczany, przerażony, niezdarny — patrzono nań z ironicznym politowaniem. Stefek, który ma zawsze dobre pomysły, podszedł doń i głosem władczym i pewnym siebie zapytał: — „Wasze nazwisko?"

„Eustachy Kuba, panie..."

— „...kapral" uzupełnił Stefek od niechcenia i zapisał coś na świstku papieru.

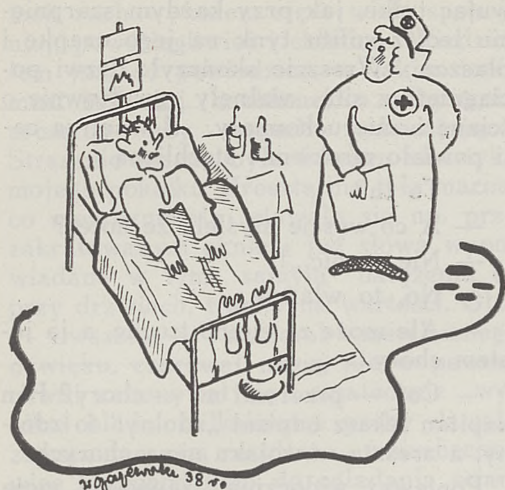
— „Imię matki, ojca, wiek, zawód?" — indagował dalej, po czym zapisawszy te niezbędne dane, zdjął z powagą ze ściany wielki oprawny w drzewo termometr do mierzenia ciepła na sali i wsadził go Kubie pod pachę.

Wszyscy krztusili się ze śmiechu, a rekrut Kuba z pietyzmem tulił potężny instrument, spoglądając na Stefka z ufnością i strachem zarazem.

Kres tej zabawie położyła „ciotka Rozprysk". Ofuknęła Kubę, zwymyślała Stefka i z właściwym rozmachem zabrała się do stawiania baniek.

Męczarnie Kuby nie skończyły się jednak tak odrazu. Aż do wizyty lekarskiej był kozłem ofiarnym całej sali.

I oto sam pan major orzekł, że Kuba ma grypę. Od tej chwili Kuba zhardział niesamowicie. Zaczął groźnie odburkiwać na zaczepki, stawiać żądania, zachowywać się w sposób prowokacyjnie nonszalancki. Gdy jeszcze na dobitkę, przy jego cynowym talerzyku ukazały się pomarańcze (przywilej grypowców),



Kuba zatriumfował ostatecznie. Wszyscy zamilkli z szacunkiem i nawet Stefek musiał się upokorzyć. Nic dziwnego, on miał tylko marny nieżyt i w dodatku normalną dietę.

Józek też miał nieżyt i też należał do szaraczków, to też spóźniony awans na „odżywczą" wydawał mu się dotkliwą ironią losu. Gdy przyniesiono obiad, jadł swoją „normalną" z rozrzewnieniem. „Ostatni posiłek skazańca".

Następnego ranka sam z determinacją zerwał swą kartę. Towarzysze „izbowi" żegnali go życzeniami rychłego powrotu, jedna tylko „ciotka Rozprysk" burknęła bezlitośnie: „jednego markieranta mniej, chwała Bogu".

Podch. Jan Szczepański

3. — Pensjonat pod zegarem



Już od rana wiedziałem, że to tego właśnie dnia burza, która nad mą głową kołowała — mówiąc poetycznie — spłodzi wreszcie grom, wyoczekiwany ciągle i uporczywie przy tylu już rozkazach. Tylko nie spodziewałem się nigdy, że będzie tak właśnie i że słowa wieszcza: „...a imię jego czterdzieści i cztery" nabiorą dla mnie tyle zrozumienia.

Gimnastyka poranna przeszła bez wrażenia, pomijając fakt, że za nieoczyszczone wczoraj buty zafasowałem 20 wiader wody. „Sp" — popularnie zwane spaniem — i działoczyny odbyły się normalnie t. zn. spaliśmy i cokolwiek czyniliśmy wokół dział, na instrukcji strzelania normalnie wpadłem („trójeczka, trójeczka, precz!") — i dopiero rozkaz sprawił niespodziankę. Po zwykłej liście służbowych i funkcyjnych od słowa „kary" wśród grobowej ciszy szef — st. ogniomistrz przeczytał: „karzę bombardiera... 7 dniowym aresztem ścisłym za... Początek kary dziś o godzinie 16".

Przez moment byłem nawet dumny, że to o mnie i że w rozkazie — ale uczu-



cie owo opuściło mnie rychło, pozostawiając w sercu dziwny lęk. Tyle naopowiadało się o strasznym „ścisłym", o męczącej samotności czterech ścian zimnej celi, o złośliwej wodzie, która podobno powoduje spotęgowane wrażenie głodu itp. Na uśmieszki i słowa otuchy reagowałem jednakowo: odwracaniem się i drwiącą miną. Tak mi się przynajmniej zdawało.

Punktualnie o 16-ej służbowy zaprowadził mnie na wartownię.

— Panie plutonowy...! — krzyczał głośno do siedzącego za stołem dcy warty — melduję posłusznie bombardiera X do aresztu ścisłego!

— Acha... A czy ma coś ze sobą? Jak ma to niech wyjmie. Pieniądze czy papierosy znajdą to wrzucę do ustępu. Pasek od spodni też zdjąć, a także samo wszelkie sznurki i nożyki. I płaszcz weźcie mu.

„Mu" tzn. mnie. Płaszcz może nawet niepotrzebny, bo wizyt składać nie będę, obejdę się, ale koce mogą przecież zostać.

— Po co?

— Jakto po co? Do spania.

— Ni, jeden musi starczyć, jeszcze dochodzi bielizna, co się rozumie koszula i kalesony i onuce i wszystko. Tak jest?

— No, jest... — zgodziłem się niechętnie, patrząc z żalem, jak bezczelny służbowy zawija w płaszcz gruby ciotkowy piękny koc i szalik. Papierosy i pieniądze zostały w cholewie lewego buta, ukryte na dole w sympatycznych, twardych i grubych fałdach skóry.

— Dobra! To weźcie swoje manatki, złożycie w szafie i już do celi. Ruszać sie, no!

Na półkach szafy leżały już rzeczy dawniejszych lokatorów pensjonatu pod zegarem, obok których umieściłem również swoje — i gdy wchodziłem na ciemny korytarz, biegnący między celami, wartownik o wydatnym nosie mocował się przy jakichś drzwiach, próbując je otworzyć. Czekałem, aż zwycięży, obserwując tylko, jak przy każdym szarpnięciu leci z sufitu tynk na jego czapkę i płaszcz. Wreszcie skończył: drzwi pociągnięte z siłą walnęły gwałtownie o ścianę i znieruchomiały. Z wnętrza celi powiało mrokiem i stęchlizną.

— To tu?

— A co wyście myśleli, że hotel?

— Nie, ja nic...!

— No, to właźcie.

— Ale może za zimno trochę, a ja jestem chory...

— Co? — przerwał mi — chory? Pan kapitan lekarz napisał „zdolny" to zdolny, a zresztą w wojsku nima chorych.

Ponieważ widocznie zauważył moje zdziwienie, więc dodał:

— A co się tak gapicie? W wojsku wszyscy są zdrowi albo trupy, innych nima.

Logicznie — pomyślałem, gdy trzasły za mną krótko obite blachą drzwi i biały pył z kawałkami tynku sypnął się z góry. To fakt oczywisty, że żyję, bo jakże by mogło być inaczej.

Zaraz przy wejściu natknąłem się na taboret. Niczym nie różnił się od naszych bateryjnych czworonogich przyrządów do prasowania łóżek. Był tylko bardziej brudny i z porysowanym blatem. Usiadłem na nim obojętnie, pogrążony w filozoficznych rozmyślaniach.

Ale w pewnej chwili, jak gdyby pchnięty rozkazem, poderwałem się na nogi: przez ścianę z sali dla wartowników doleciał mnie głośny krzyk „baczność!"... i zaraz cisza. Po tym jednym tchem wypowiedziana formuła meldunku d-cy warty i szybkie kroki, znaczone dźwiękiem ostróg w kierunku korytarza. Zatrzymały się przed drzwiami mojej celi. Chrobot obracanego klucza i już sypie się tynk białymi plamami na gliniastą podłogę. Poprawiłem furażerkę i stanąłem w tzw. postawie zasadniczej. W otwartych wreszcie z wysiłkiem drzwiach ukazał się oficer służbowy szkoły. A tak się przestraszyłem, myśląc, że Bóg wie, co się dzieje.

Oczywiście przy następnych wizy-

tach zachowywałem się o wiele spokojniej, powściągliwiej i chłodno. Wiedziałem już, co powiedzieć, w jakim tonie musi być mój meldunek o odbywaniu aresztu, aby wypadł zadawalająco. Strasznie marna była bowiem akustyka mojego pokoiku. Zresztą nie tyle marna, co niezrozumiała: stawało się np. przy zakratowanym oknie i już słowa wypowiadane w tym samym natężeniu co przy drzwiach, traciły na wartości. Głos — owszem — nabierał metalicznego dźwięku, czarował mocą, ale w pewnej chwili załamywał się i ostatecznie wynikał blado. Kilkakrotne próby dawały zawsze ten sam rezultat — zniechęcony więc przechodziłem do oglądania ścian.

Jak już gdzieś wspomniałem — było ich cztery, wszystkie jednakowo szare, nawet ciemne, z białymi plamkami dawnej świeżości. W kątach koło okna dziury aż do cegły, pełne wypalonych zapałek i kawałków tutek papierosowych. Widocznie poprzedni lokatorzy byli nałogowcami, a cela poprostu... dla palących. Natomiast obok pieca, wmurowanego narówni ze ścianą, znalazłem nawet zupełnie dobrą zapałkę i kawałek „draski", inaczej mówiąc brzeg pudełka. Już teraz nie będę potrzebował jak człowiek pierwotny posługiwać się hubką i krzesiwem z tej choćby przyczyny, że ani hubki ani krzesiwa nie posiadałem. Trudno to ukryć w cholewach butów, a zresztą czy nie mam prawa korzystać z owoców współczesnej techniki?

Wieczorem zapalono światło — kontakt był oczywiście na korytarzu. Uczyniono to nagle i jak gdyby bezpośrednio. Dla mnie miało to tym większą wartość, że określało dokładnie czas. Zegarek kiedyś na woltyżerce odmówił posłuszeństwa po uprzednim zetknięciu się z łękiem siodła artyleryjskiego, a zresztą napewno by mi go odebrano.

Wieczorem również wpadł do celi jakiś plutonowy w poszukiwaniu napisów na ścianach i brudów. Przedstawiwszy się grzecznie, ale służbowo i wyjaśniwszy mu cel pobytu w tym miejscu, zwróciłem uwagę na tynk, opadający systematycznie na podłogę. Widocznie sprawa była nieistotna, bo nic nie odpowie-



dział. Natomiast zaraz po nim przyniesiono mi chleb z baterii, który ułożyłem za oknem, bo nie miałem apetytu. Koledzy przyglądali mi się od progu bardzo przestraszeni i przejęci swoją misją, ja zaś przez chwilę odniosłem wrażenie dziwoląga z panopticum, tyle było w spojrzeniach zainteresowania pewnego rodzaju sensacją: kolega ze ścisłego. Odetchnąłem, gdy poszli.

Życie w areszcie ma swój charakterystyczny, jakże inny od normalnego w baterii rytm. Rano pobudka. Nagle zapala się światło, otwierają kolejno drzwi każdej celi, dźwięczą ostrogi wartowników w długim korytarzu. Wstajesz ciężko z drewnianego tapczana, który za chwilę zamkną w ścianie olbrzymią kłódką i idziesz do umywalni — miejsca porannych spotkań wszystkich mieszkańców ozdobionego zegarem budynku.

Potem sprzątanie celi i wspólna modlitwa. Ponuro brzmią słowa nabożnej pieśni, tłuką się pod sufitem, giną w szarych ścianach korytarza. Nie ma tu tego pośpiechu, jaki cechował modlitwy w baterii, gdzie zaraz czekało pachnące kawą śniedanie. Tu inaczej: czekają godziny w celi, drzemiące na taborecie i najrozmaitsze samotne myśli. Nie ma się do czego śpieszyć.

Ale przed tym gimnastyka.

— Raz...! dwa...! raz...! dwa...! Co trzeci krok podskok i wyrzut rąk do góry, ćwicz: raz-dwa-dwa-raz-dwa...! Razem. Razem, razem, wszyscy razem, a nie każdy sobie! Wy tam, ta łamaga z końca też, co tak wlecze się jak machabeusz?... Raz, raz...! Dość — dookoła placu biegiem marsz...! Dość — do cel roz...sie!

Południe: zmiana warty. Przychodzi nowy d-ca, odbywa się takie czy inne zapoznanie, przegląd twarzy i kieszeni.

— Bo jak znajde cóś, co nie ma prawa być, to nie oddam, wrzucę w sedes i niech szuka, jak chce. Ma się rozumieć, że dopiero po odbyciu kary. Baczność — do cel biegiem marsz!

Teraz dużo wolnego czasu aż do wieczora, kiedy znowu sprzątanie maleńkich pokoików, a po tym noc. Wartownik niemy i ślepy na wszystko, co jego samego nie dotyczy, wchodzi jak duch, aby uwolnić z całodziennej niewoli drewniany tapczan. Oparty na wysuwanych nóżkach posłuży jako sprzęt, zwany pospolicie łóżkiem. Twardo? — więc może zmienisz pozycję, przyjacielu?

Przyznaję, że to chwilowo pomaga, ale z czasem doszedłem do innego zdania: wygodniej będzie, owinąwszy się kocem, przedrzemać pod dobrotliwie ciepłym piecem. Noce są przecież w każdym miejscu niepomiernie długie.

A we dnie, a we dnie coraz bardziej tęsknisz za kolegami, za baterią, za wszystkim co jest z nią związane, za sobą samym w jej życie wplątanym — i coraz bardziej rozumiesz, że nie tu twoje miejsce.

— Ten areszt to nieporozumienie chyba... — myślisz i wiesz już: nigdy się nie powtórzy.

„ex-aresztant"

KOMITET REDAKCYJNY ROCZNIKA

Kpt. Jabłoński i kpt. Jankowski – opiekunowie, Redaktor naczelny Henryk Chuzik oraz członkowie: Zbigniew Budzyński, Kazimierz Muszyński, Jan Szczepański, Stefan Boratyński, Wacław Stacherski, Tadeusz Tokarz, Wiesław Gajewski, Kazimierz Sowa.


ZWOLNIENIA
OD ZAJĘĆ
PAL
WIEIZCZOWI
NARÓD



1. — Marsz konny

— Tylko pamiętajcie, jesteście teraz II-gi pluton — zrozumiano?

— Tak jest, panie kapitanie!

Trzasnęliśmy sprężycie obcasami i pognaliśmy co tchu do naszych szafek, nie bardzo jeszcze wierząc w szczęśliwy los, który tak niespodziewanie uśmiechnął się do dwu kronikarzy, zmartwionych przed chwilą nad nie chcącymi się domknąć tornistrami. Na kolegów z plutonu patrzyliśmy teraz pobłażliwie i wyniośle — tym wynioślej, że sami zaledwie parę minut temu byliśmy przecież zwykłym „transportem". Teraz, jako „kawaleria" i w dodatku zwiad, czuliśmy się zupełnie inaczej.

Zawdzięczaliśmy to rocznikowi — no, bo musi być przecież sprawozdanie z marszu konnego na poligon. Ktoś mógłby powiedzieć, że i z „transportu" powinno coś być, ale mniejsza z tym. — Pojechaliśmy.

Nazajutrz, gdy konno i z dobytymi szablami słuchaliśmy mszy polowej, nic już nie było nam w stanie zaimponować. Wyjazd, zazdrosne miny pieszych kolegów, orkiestra na siwych koniach, błysk nagich kling w słońcu — pierwsze kilkaset metrów jechaliśmy jak w radosnym transie. Dopiero „szable—schroń!" i brzęk upadającego na bruk pochłaniacza, który wyślizgnął się komuś z niedomkniętej puszki, przywołały nas do rzeczywistości.

Skręciliśmy w pola, efektowne trójki

ustąpiły miejsca bardziej praktycznym dwójkom, dyon marszowy rozciągnął się w długiego, krętego węża.

Wkrótce i orkiestra pożegnała nas jakimś skocznym krakowiakiem. Koniec parady — zaczął się właściwy marsz.

Młodziutkie słońce, rozdzwonione skowronkami pola, konie parskające jak w sienkiewiczowskich powieściach — wszystko składało się na nastrój pełen radości i uroku. Nawet krnąbrny „Demon" przestał boczyć się i bić za siebie — on też pewnie zadowolony był z tej wyprawy.

Dzień rozwijał się jak doskonale wyreżyserowany film wyszkoleniowy: krótkie postoje, wymarsze na głos trąbki; tylko, że tym razem my sami byliśmy aktorami, my sami byliśmy już tym „prawdziwym wojskiem".

Nie zapomnę nigdy przemarszu przez stary, wysokopienny las. W zielonym, chłodnym mroku, poprzerywanym tu i owdzie jasnymi plamami słońca, sunął cicho długi wąż spłowiałych bluz, bezbarwnych polówek, połyskujących końskich zadów, kołysanych rytmem spokojnego stępa. Droga wiła się pod niskim pułapem konarów, a powietrze napełniało płuca cierpkim oddechem lasu, przepojonym wonią gnijącego, zeszłorocznego listowia i młodziutkich, wiosennych pędów. Kręta piaszczysta dróżyna wznosiła się, to opadała, nużając się w stęchłej wilgoci płytkich rozlewisk i mokradeł. Końskie kopyta chlupotały wówczas przez chwilę nierówno i jakby z wysiłkiem, po czym próchnisty, miałki piasek tłumił znowu odgłosy pochodu.

Jak urzeczeni milczeliśmy, chłonąc urok chwili. Ni stąd, ni zowąd ktoś zaintonował piosenkę. Podchwyciliśmy ją niezwłocznie i aż zdumieliśmy się, tak czysto i mocno zabrzmiała. Od tej chwili śpiewaliśmy już stale.

W pewnym momencie kolumna zatrzy-





mała się, — zgubiliśmy drogę. Między pniami, w trzasku tratowanych krzewów mignął galopujący zwiadowca. Gdzieś od końca toczył się podawany z ust do ust meldunek, który wielokrotnym echem powtarzała głębia lasu: „trzecia dołączyła". Ruszyliśmy dalej.

Marsz z końmi „w ręku", który zakończył dzień, przypomniał nam o naszej szarej, szkolnej rzeczywistości. W ciągu następnych dni ten sposób maszerowania dał się nam nieźle we znaki, ale nie był to dostateczny powód, aby nam zepsuć humory.

Specjalny urok miały noclegi. Na kwaterach dopiero zżyliśmy się naprawdę z naszymi końmi. Troskliwość, z jaką po zdjęciu siodeł obmacywaliśmy ich grzbiety, szukając ewentualnych odparzeń, nie była bynajmniej i wyłącznie egoistyczną obawą, związaną z zapowiedzią ostrych represji. — Chodziło nam naprawdę o zdrowie naszych towarzyszy, w których poznaliśmy prawdziwych towarzyszy żołnierskiej doli.

Nie przesadzę również mówiąc, że polubiliśmy siodłanie, troczenie, obrokowanie i wszelkie stajenne czynności, nie wyłączając czyszczenia. Marsz spoufalił nas z końmi, dał nam złudzenie, że jesteśmy już wytrawnymi kawalerzystami. — Kupiczów, Drozdnie... — Zostało nam miłe wspomnienie schludnych, zamożnych osad, uprzejmych ludzi, odpoczynku po całodziennych trudach.

Jeszcze brzmiały nam w uszach melodyjne ruskie pieśni gościnnych drozdnian, gdy ruszaliśmy w ostatni etap naszej drogi. — Ale ciekawość poligonu zgasiła w nas wszelkie inne uczucia.

Nawet na deszcz, który siąpił od rana, nie zwracaliśmy uwagi, wypatrując znanych nam z opowiadań tylko miejsc. Może to już Góra Anioła? — Z piasków i zarośli wynurzyły się niespodziewanie strzechy. Kochane gęby pieszych kolegów zaśmiały się z za opłotków. Dzieci wiejskie rzucały nam kwiaty. — Byliśmy w domu. Pięty odruchowo przybrały przepisową pozycję. Prawe ręce złożone na biodrach zawadiackim, butnym ruchem, nadawały nam dzielny, junacki wygląd.

2. — Jesteśmy

Już w pierwszym tygodniu szkolenia wśród różnych określeń słownictwa wojskowego natrafiliśmy na słowo — *poligon.* Było w nim coś, co nas niepokoiło i pociągało — pachnące słońcem i rozgrzanymi polami i zmęczeniem. Można było wypowiedzieć — *poligon* — i oczy zamknąć, a zaraz jawiły się obrazy, składane z opowiadań starszych kolegów, którzy dawniej w artylerii służyli: białawe płachty namiotów, pełne wiatru i pod wiatrem tym falujące z głośnym gwałtownym klaskaniem, trzymane na uwięzi linkami jak dzikie nerwowe ptaki — bateria, malowana błyszczącym słońcem, przez pola pędząca w galopie— i my, ci sami z Włodzimierza, opaleni na czekoladowy bronz, rozgorączkowani, zdenerwowani, z niewidocznymi na ciemnych twarzach rumieńcami emocji przy gotowej do ostrego strzelania „75-ce". *Poligon — szkoła ognia.*

PIERWSZE DNI

Zaczęło się normalnie — od pracy. Trzeba było nowe, nasze wspaniałe płócienne budynki rozstawić, cudownie pachnące lasem, pełne wrzosu łoża uszykować, gorączkę przyjazdu i zagospodarowywania się zamieniać stopniowo na regulaminowy spokój polowego życia. Trzeba było dostosowywać się do trudnych czasem warunków atmosferycznych pierwszych dni maja, aby umieć później ocenić dobroć słońca, ciepłego wiatru i rozśpiewanych słowikami nocy na warcie.

A po dniu stanęło się wieczorem na skraju świeżo zoranego pola, tuż zaraz za swoim namiotem, twarzą naprzeciw nadchodzącej nocy. Spokój spływał na oczy i usta, spokój i bliski sen. Milczałeś, aby nastroju nie płoszyć — dzień przecież był metaforycznie burzliwy, bo pan st. ogniomistrz, szef najdroższy, urządził t. zw. „gry i zabawy" *), wspólne dla całej baterii.

---

*) Czytaj: przeróżne meldowania się i roboty akordowe.





ono naprawdę wygląda, czy huk silny, czy bardzo wielka emocja... A na „punkcie" jak jest w rzeczywistości.. — Przyzwyczajeni do codziennych strzelań na stole strzelniczym w koszarach, obładowani teorią instrukcji — z niecierpliwością czekaliśmy tej chwili, kiedy staniemy w *prawdziwym* terenie, aby oczami pobladłymi od przejęcia wypatrywać *prawdziwych* wystrzałów.

Po ukrytym w trawie i skibach ziemi drucie poszła komenda. Na „punkcie" strzelający oswoił się widocznie z obecnością dostojników szkolnych, bo wypo-

Ale teraz już cisza — kolega, który obok ciebie stanął, również to rozumie. W pewnej chwili mówi:

— Nie wiem, co o tym myśleć. Spokojnieję wieczorem, opadam, cichnę, staję się małym zupełnie, gdy nas noc nakrywa... I już nie potrafię się złościć, denerwować, nawet żalić. Cały dzień minął — skreślony, a jutro nowy będzie... I tak uczę się życia.

Uśmiechasz się. Nie do niego, bo poprzez prószący zmrok nie zauważyłby, lecz do siebie.

— A nie będziesz pamiętał?

— Pamiętam, tylko umiem już rozumieć i tłomaczyć to, co jest zawsze konieczne, a na pierwszy rzut oka, w pierwszej chwili niepotrzebne. I znowu uczę się życia i wiem, że gdy skończę wojsko, będę mógł organizować, pracować, myśleć 100% lepiej, niż poprzednio. Bo bilans tego okresu jest taki właśnie i opiera się na przygotowaniu nie tylko do wojny, ale i do zwykłego, normalnego kroku... Idziemy spać?

— Chodźmy... A jutro ostre strzelanie.

— Tak, nasz chrzest.

OD DZIAŁA — PAL!

Pierwsze ostre strzelanie — oto temat, który nas pasjonował od dawna. Jak



wiedział ją głośno, mocno i dobitnie. Telefonista powtarzał słowo za słowem i wreszcie — wystrzał! A po tym od odległego stanowiska baterii doleciał huk i zaraz później górą przeleciał świst wierconego olbrzymią siłą powietrza. W lornetce, przyłożonej do oczu, wybuch: pióropusz dymu, piasku i kurzu — głośna fontanna ziemi.

— W prawo 15, krótki... — powiedział strzelający, nie umiejąc ukryć żalu. Bo tak się cieszył, że może będzie „w kierunku".

NIESPODZIANKI UBEZPIECZENIA

Przez wszystkie dni huczą wokoło po lasach wystrzały. Co rano wyjeżdża któraś bateria długim żelaznym wężem i końmi, w kurzu i pyle na strzelanie, aby pod gorącym błękitnym stropem wprawiać się w trudnym artyleryjskim kunszcie. Codziennie olbrzymie pole poligonowe dymi od wybuchów.

W lasach okólnych, na otwartych przestrzeniach, pasem czujnym rozstawiono t. zw. ubezpieczenia. — „*Przejazd i przejście podczas ostrego strzelania zabroniony pod grozą utraty życia*" — brzmi napis na tabliczkach posterunków, rozstawionych wokoło poligonu.

Każdy chciałby być w ubezpieczeniu, każdy się do tej służby melduje z ochotą. Tak było zawsze i tak jest i w tym roku. 16-tu szczęśliwców wyjeżdża rano, kiedy jeszcze namioty dyszą równym snem.

Stasiek Czarnek w przeddzień obnosił się ze swoją radością jak ze sztandarem. Pojeździ sobie konno — opowiadał — po lesie, po zielonych drogach... — Był chyba bardzo zadowolony i tymbardziej że mu zazdroszczono.

Na drugi dzień w południe przygalopował do stajni koń — bez siodła, z pianą w pysku.

— Sobótka! — przywitali go okrzykiem stajenni. I zaraz rozniosło się po





baterii, że Czarnkowi koń uciekł. Uciekł koń! — ha, ha, ha!

O 4-tej ppł. przyszedł i niefortunny jeździec, a raczej przyjechał: pół drogi (6 klm.) niósł ciężkie, stroczone siodło, odpoczywając gęsto, aż dobry los zesłał mu jakiegoś „hadziaja" z furą.

Tłumaczył się, opowiadał, bronił, ale w końcu zrezygnował z obrony własnej dumy jeździeckiej i uciekł przed drwinami do Rosikowej na piwo.

„BIGOS" I PORCJE LODÓW

Dni płyną czy biegną — wszystko jedno. Fakt, że mijają nas. Tydzień, dwa, trzy... WB, strzelanie, terenoznawstwo, topografia lub „bigos" czyli składanka (nie mylić z biegunką). Najgorsza jest ta składanka, potrawa aż z pięciu składników: strzelnicy terenowej, działoczyn, musztry pieszej, jazdy konnej i woltyżerki.

Czego tu nie ma! — Jest i nuda dziecinnego teraz strzelania bez prochu i maskowane „od działa — pal!" i ćwiczebny krok wraz ze zbiórkami w szeregu, dwuszeregu, rzędzie, posuwaniem się na linię skokami — i wreszcie 3 konie do jazdy i woltyżerki. Niech diabli wezmą te potwornie ospałe i męczące zajęcia, przerywane zabijaniem stad komarów na własnej szyi!

Po tym zgrzani, przepoceni dyszymy z ulgą, pochłaniając lody śmietankowe w lokalu p. Witwickiej. „Bigos" i lody — dziwne, że się nikt nie rozchorował.

CORAZ BLIŻEJ

Każdy dzień przysuwa nas do tego, co nadejść musi — do końca. Po niebie przewalają się burze, albo ziemia ospale oddycha w słońcu jak w łaźni parowej — monotonne bzykanie komarów atakuje boleśnie i coraz mocniej. Im

więcej komarów, tym bliżej zakończenia okresu trzeciego i ostatniego — aż wyjedziemy wtedy, gdy już trudne byłoby współżycie z maleńkimi potworami. Alternatywa: my albo oni — zostaje zdecydowanie rozstrzygnięta tak właśnie: oni, oni zostają. Czeremoszno-komarza wieś ginie, ucieka do tyłu.

Ów dodatek z poligonu jest nie dla nas, a dla ciebie — drogi Kolego, który we Włodzimierzu żyjesz, klnąc błoto i raniące nogi buty. Dla ciebie przede wszystkim notuje się te obrazki w pośpiechu, w kradzionych minutach. Bo my mamy wspomnienia, moc wspomnień, faktów i zdarzeń, których ani ująć w słowa, ani opowiedzieć pospolicie. A ty jesteś biedny.

Na przodkach jaszczów czytasz: „*za 2 dni wyjazd na poligon*" — i myślisz: daleko, daleko jeszcze. I to jest różnica między tobą — biednym, a nami — bogatymi: że tobie jeszcze daleko, a nam już zupełnie blisko.

Uśmiechnij się, przyjacielu, choćby nie było dostatecznych powodów — z uśmiechem łatwiej, wierz mi.



Fotografie Jankowskiego, Kołodzieja i Schmidta oraz dostarczone przez Sekcję Fotograficzną S. P. R. A. Ilustracje W. Gajewskiego, A. Hoffmana i K. Muszyńkiego. Wkładki kolorowe i okładkę wykonał K. Muszyński – są to: »Marcin Kątski w podziemiach Kamieńca Podolskiego« (str. 14 – 15) »Tryptyk artyleryjski – trzy epoki artylerii polskiej« (str. 28 – 29) i »Montaż z tygrysem« (str. 42 – 43).

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa

